18010

B. P. im. Ł.

18010
B.P. im. Ł.

ZIEŁ WYBOROWYCH
№ 422

W. M. Doroszewicz

RODZINA I SZKOŁA.

Z rosyjskiego przełożył

Józef Maciejowski.

Cena 25 kop.
W prenum. 19½ k.

WARSZAWA
Redakcya i Administracya
14. Warecka 14.

1906.

RODZINA I SZKOŁA.

1000072389

1595

144709
2307998

W. M. Doroszewicz

RODZINA I SZKOŁA.

Z rosyjskiego przełożył

Józef Maciejowski.

WARSZAWA
DRUKARNIA
ALEKSANDRA TAD. JEZIERSKIEGO
47. Nowy - Świat 47.

Wydział I Miejska Biblioteka Publiczna
I-323974
LUBLIN
ul. A. Lipowskiego
37.018

PRZEDMOWA.

Juvat meminisse praeteritorum malorum

Szkoła rosyjska...

Sam dźwięk tych wyrazów wywołuje w naszej pamięci cały szereg wspomnień, wrażeń, cierpień i bólów dziecięcych.

Ponura, malowana na szaro lub żółto izba szkolna. Surowy, bezwzględny, brutalny nauczyciel, metodycznie znęcający się nad wychowańcami. Młode ciała i młode dusze opięte jednakowo w ciasny mundur gimnazyalny. Nauka sztywna, sucha, urzędowa, nie przynosząca z sobą żadnego tchnienia z szerokich pól prawdziwej wiedzy. Żadnego ukochania, żadnej miłości, żadnego uczucia gorętszego. Martwy program i martwe, głuche kołatanie młotka pedagogicznego, wbijającego do mózgów „reguły", potrzebne do egzaminu. Szablon, rutyna błoto, znieprawianie moralne—z jednej strony. A z drugiej— nieustanny, cichy, ale nieprzejednany protest. Dusze „zapięte na wszystkie guziki" buntują się. Klasa zawiera milczącą ligę i sprzymierza się przeciw nauczycielowi, przeciw władzy. Dwa wrogie sobie obozy, wojna, toczona przez lat trzydzieści z górą, wojna, która doprowadziła w końcu do... nieznanej

w dziejach szkolnictwa europejskiego *abstynencyi szkolnej*.

Tak było u nas, gdzie szkoła rosyjska stanowiła silną placówkę polityczną. Gdzie za jej pośrednictwem dokonywano na społeczeństwie polskiem nieludzkiej operacyi „zrosyjszczenia".

Ale tak samo bez mała było i jest w Rosyi, gdzie „szkoła rosyjska" nie mogła być nierosyjską, gdzie była ona na swojem miejscu, gdzie pomiędzy nią a społeczeństwem powinien był istnieć zgoła inny łącznik, niż u nas.

A przecież system koszarowo - biurokratyczny i tam z tej szkoły uczynił narzędzie tortur. I tam potrafił oddzielić ją od społeczeństwa murem i tam obrócił przeciw niej opinię publiczną.

I przyszły, bo musiały przyjść czasy inne. „System" chwieje się, kołysze, pada. Cały budynek „szkoły rosyjskiej" trzeszczy i pęka, a przez szczeliny swoje ukazuje zupełną gangrenę, ukazuje ją oczom wszystkich, kiedy przedtem widzieli ją tylko ludzie dobrzy, mądrzy i odważni... Zwłaszcza ci ostatni.

Do takich należał niewątpliwie autor niniejszej książki, W. Doroszewicz.

Utalentowany pisarz, nowelista i dziennikarz, był on jednym z tych, którzy ze szkołą rosyjską walczyli „na ostre" wówczas jeszcze, kiedy tylko wewnątrz serc było pełno goryczy, a na zewnątrz był spokój i posłuszeństwo, kiedy milczały dzieci i milczeli ojcowie...

W szkicach i feljetonach, które dajemy do rąk czytelników, pochwycił Doroszewicz trafnie i odma-

lował subtelnie niejednę stronę życia szkolnego, uwydatnił niejeden gwałt, płynący z mechanicznego stosowania okólników i przepisów ministeryalnych, oświetlił niejednę tragedyę duszy dziecka.

Nie są to utwory wielkiej sztuki. Przeciwnie, brzmi w nich nuta publicystyczna silniej od artystycznej, ale dzięki samemu tematowi, który był i jest niezwykle interesujący i aktualny, dzięki lekkiej formie i doskonałej w niektórych momentach ironii — szkice czyta się z niemałem zajęciem.

Są one naogół smutne, jak smutną była „szkoła rosyjska"; ale ten smutek nie jest bezsilnym i biernym protestem przeciw zakorzenionemu złu. Tkwi w nim świadoma wola przekształcenia stosunków na lepsze, obywatelskie dążenie do szkoły *dobrej*, działającej współrzędnie z rodziną w kierunku wychowywania dzieci nie na „urzędników," przykrojonych do wymagań tego lub innego departamentu, ale—na „ludzi"

I ta idea zwycięża. A chociaż dziś już jest obojętne dla nas, jaką będzie w przyszłości szkoła rosyjska, bo chcemy i musimy mieć szkołę polską, to jednak głos Doroszewicza w tej kwestyi, jako przedstawiciela młodej, odradzającej się Rosyi, jest głosem niewątpliwie znamiennym i wartym wysłuchania.

Zresztą, *mutatis mutandis* to, co opowiada i nad czem zastanawia się Doroszewicz, należy także i do naszych wspomnień — tylko, że u nas to wszystko było jeszcze boleśniejsze, jeszcze jaskrawsze, jeszcze smutniejsze...

Zdzisław Dębicki.

Smutki i radości małego człowieczka.

Jesienny, chmurny, wilgotny poranek...

Paweł Iwanowski, uczeń drugiej klasy, czwartego gimnazyum, wyszedł z domu. Wlókł się zrazu powoli, ledwo,—ledwo, wnet jednak zasyczał, zaczął iść prędzej, zakręcił na rogu ulicy tak szybko, że musiał dać sygnał gwizdnięciem, aby nie poroztrącać przechodniów.

Malec wyobrażał sobie, że jest kuryerem, idącym z Warszawy do Petersburga i robiącym około 120 wiorst na godzinę. Zdawało mu się, że wkoło niego migają widoki, widoczki, a kiedy przebiegał koło bramy jednego z domów, ujrzawszy beczkę do wody, swisnął kilka razy na trwogę, by nie zmiażdżyć w całym pędzie zapory. Wszak był kuryerem i mógł łatwo to uczynić!

Sycząc i gwiżdżąc, piorunem przebiegał z jednej ulicy na drugą, dziwiąc się swej umiejętności pędzenia.

Pod koniec października i w początkach listopada Pawełek wyobrażał sobie, że jest *chuliganem*, dzikim. Zimową porą był tropiaczem i bardzo uważnie rozpatrywał ślady na śniegu, które były dlań nadzwyczaj tajemnicze, zagadkowe i straszne. Zmuszały go one nawet do okrzyków, jakie wydaje sowa. Ale w jesieni, kiedy jeszcze żywo pa-

miętał wyjazd na letnisko, naśladował pociąg, wychodzący co dzień o godzinie ósmej rano do Petersburga.

Doszedłszy do sklepu niejakiego Szestopałowskiego, chłopiec zasyczał, dał kontraparę, wstrzymując pociąg, by zajść do kupca. Znalazłszy się w sklepie, położył pięć kopiejek na ladzie i rzekł:

— Proszę o czekoladę „narodową"... albo nie, daj mi pan świętojańskiego... lub też tak... najlepiej chałwy, doskonałej chałwy.

Kupiwszy, poszedł dalej bardzo wolno, zajęty cały jedzeniem smakołyku.

Chałwa była wyborna, twarda, słodka, sprężysta jak guma ołówkowa. Więzła w zębach tak, że chłopiec często nie mógł ich rozewrzeć i musiał kłaść palec w usta, co mu się niezmiernie podobało.

— Prawdziwy pokarm wojownika! Indyanie nie takie rzeczy jadają. A Cook, który z głodu jadł swe mokkasiny!

Po spożyciu chałwy czuł łamanie w szczękach. Przeszedłszy kilka kroków, Pawełek zatrzymywał się przed oknami wystaw dużych sklepów i zaczynał przegląd różnych przedmiotów, które znał, widział tyle już razy, wiedział na pamięć, gdzie który leży.

Przed sklepem optyka zaczekał nawet, aż ten swój sklep otworzy, aby ujrzeć mały prawdziwy parowóz na relsach, który już od lat trzech miał zamiar kupić za pieniądze otrzymywane na śniadania, zbierając stopniowo potrzebną gotowiznę. Niestety, nie mógł ziścić marzeń, przejadając codzień swoją dziesiątkę.

Iwanowski przybył do gimnazyum przed samym

dzwonkiem. Serce mu zastukotało z przestrachu. Chłopiec się przeraził, nagle przypomniawszy sobie, że dziś właśnie mają go pytać z łaciny.

Chciał przed lekcyami poduczyć się trochę — ale teraz, kiedyż?

Głęboki ogarnął go niepokój. Towarzysze jego czuli to samo. Biegali, krzyczeli, hałasowali nerwowo, gorączkowo, jakby tą podnietą pragnęli zagłuszyć w sobie lęk wewnętrzny.

Ujrzawszy Pawełka otoczyli go, wołając:

— Cóż ty „Dewecie" tak późno przychodzisz? Tu była już bitwa, a ciebie nie było! Idźże do Krügera!

Pawełek krzyknął w rozdraźnieniu.

— Idźcie do dyabła! Głupiś ty, a nie Krüger,— zwrócił się do kolegi.

— A więc tyś nie Dewet, lecz świnia! — odrzekł zirytowany obelgą kolega — mniemany Krüger.

Wszyscy wrzasnęli.

— Panowie, panowie, Iwanowski nie jest już Dewetem!

Przezwany Krügerem palnął kułakiem Pawełka w bok, za co Iwanowski podstawił mu nogę i przewrócił go na ziemię.

W tej chwili ostro zadźwięczał dzwonek.

— Na pierwszej lekcyi poduczę się. Z rosyjskiego nie odpowiadam — myślał Pawełek, idąc do klasy.

Lecz profesor rosyjskiego zaraz na początku lekcji po modlitwie — rzekł:

— Będzie dyktando!

— Chłopca ogarnęła rozpacz.

Dyktando trwało całą godzinę, a kiedy profe-

323974
LUBLIN

sor po dzwonku wyszedł, do Iwanowskiego podbiegli towarzysze.

— Jak śmiałeś Kostowiczowi podstawić nogę i przewracać go? To nie uchodzi! To nie według reguł!

— Panowie, muszę łacinę powtórzyć — zawołał Pawełek, na co mu odparli chórem:

— Tchórz!.. Tchórz!

A jeden rzucił nagle:

— Cóżeś ty za drugi mocarz w klasie? he he!

Tem podrażniono dumę Iwanowskiego. Wyskoczył z ławki i krzyknął gotów do walki:

— Dalej, probójcie! Na lewą rękę — no! Dużo was tam marnot?!

— Nie podstawia się nogi, nie — nie, wołali zewsząd towarzysze.

Jeden z kolegów napadał Pawełka to z tej, to z owej strony, ale Paweł odpierał każdą zaczepkę, wreszcie powalił wroga na ławkę.

Wtem dzwonek. W korytarzu dały się słyszeć kroki czecha-łacinnika.

Iwanowski wraz z innymi, cały przerażony, usiadł na zwykłem swojem miejscu.

— Wstuańcie!—robiąc ruch ręką, rzekł czech-łacinnik, wszedłszy na katedrę.

Wszyscy powstali.

— Siadajcie!—komenderował nauczyciel, opuszczając rękę.

Wszyscy usiedli.

— Wstuańcie! — znów zawołał i wszyscy powstali.

— Siadajcie!—powiedział i wszyscy ponownie zajęli swe miejsca.

Rozkazawszy tak cztery razy chłopcom dla porządku wstać i usiąść, czech-łacinnik odnotował nieobecnych, objaśnił nową lekcyę, poczem rozłożył dziennik i usiadłszy na katedrze, gotował się do pytań z zadanego.

— O Boże! byle tylko nie mnie, nie mnie — wyszeptał Iwanowski, często gęsto żegnając się pod ławką.

Siedział przygięty do pulpitu, a chowając się, dawał kuksa nogą siedzącemu przed nim Werecińskiemu, koledze wysokiego wzrostu.

— Podnieś się, podnieś, podnieś, mówię ci, wyżej, bo mnie zobaczy i wywoła.

— Ależ siedzę już dość wysoko — szeptał w odpowiedzi Wereciński. Podłożył sobie dwie książki i wyciągnął się jak struna.

— Jeszcze się wznieś, jeszcze, wołał cicho Pawełek i łupił pod ławą towarzysza. Zobaczy, ujrzy mnie czech!

— Nie mogę bardziej —rzucił Weretyński.

— Wereciński Mikołaj — czego rozmawia i z kim?—zapytał nagle czech.

— Odsunąć się!—padł rozkaz, a po nim przenikliwe spojrzenie łacinnika uderzyło przygiętego do pulpitu ławki. Iwanowski, czując krew zbiegającą do głowy, nie śmiejąc podnieść oczu na czecha, drżał pod przenikliwem spojrzeniem, działającym na niego niby grom.

W klasie zapanowało milczenie, martwa, głucha cisza.

— Spyta, spyta napewno — w najwyższem przerażeniu myślał Pawełek, kryjąc się pod pulpit.

— Gdzież to, gdzie się kryć? — zawołał

złośliwie czech. — Pruoszę siedzieć, jak trzeba. Iwanowski zmartwiał.

Przeciągnęła się w nieskończoność minuta wyczekiwania.

Czech, prowadząc palec swój wzdłuż dziennika wyrzekł naraz:

— Iwuanowski Puaweł!

Iwanowski, bez czucia prawie, trzesąc się podszedł do tablicy.

— Przeszłym ruazem miałeś dwoujkę — wolno mówił czech; — trzueba się więc pouprauwić. Poprauwimy się — dodał z sarkazmem. Iwanowski tymczasem czerwieniał, bladł, drżał.

— Pozwoli pan, panie Oskardzie Wiktorowiczu — krztusił, pozwoli pan powiedzieć...

— Pruoszę, pruoszę, na to pytają, żueby odpuowiadać! Czekuamy cuo nuam puowie Paweł Iwuanowski!

— Proszę pana profesora — zaczął chłopiec i porwany spazmem urwał.

— Couż płacz, puo co bueczyć—rzekł czech.— Ot lepiej puowiedz o *pluralia tantum*, co wiesz?

Iwanowski spojrzał błagająco na klasę.

Pierwszy uczeń Patrykiewicz wpatrywał się w czecha, błagał go, aby zapytał się.

— Mnie, mnie pytaj,— mówiły oczy Patrykiewicza, uniżenie spoczywające na postaci czecha.

Inny uczeń Postanikowski podniósł brudną od atramentu rękę, pragnąc wybębnić lekcyę. Niejaki Mózgowicz pokazywał Pawłowi język, a drugi migami „koła", czyli jedność.

„Wszyscy podlecy radzi, że nie umiem"— my-

ślał Pawełek i naraz poczuł się tak biednym, nieszczęśliwym, samotnym, że rozpłakał się na dobre.

— Ja... ja żadnych *plularia... plur... tantum* nie wiem!

— Iwuanowski Puaweł nie wie—powtórzył zjadliwie Czech—nie wie! — krzyknął, aż echo na korytarzu odpowiedziało.

— A uuszy twe, Puaweł Iwuanowski, czy tuo *plurualia tuantum?*

Klasa zmilkła, przeczuwając widowisko.

Iwanowski szlochał.

— Uodpowiedzieć!

— Nie wiem — odparł przerażony chłopiec rozglądając się wkoło, jak osaczony zwierz.

Koledzy roześmieli się zjadliwie.

— Iwuanowski nie widział nigdy swoich uuszu! — wymówił wolno Czech.—Siuadać Iwuanowski.

— Panie profesorze, głowa... głowa — szlochał Pawełek, przystępując do katedry.

— Kuażdy ma głowę, kuażdy — rzekł łacinnik, i ująwszy pióro umaczał je w atramencie.

— Oskardzie Wiktorowiczu—przejmująco błagał chłopczyna.

— Siuadać — mruknął łacinnik, stawiając jedność, co pokazali mu koledzy na migi, chichocząc przy tem bez miary.

Patrykiewicz szepnął:

— Siadajże, siadajże już!—Podniósł rękę. — Ja umiem *pluralia tantum.*

Pawełek z rykiem wracał na miejsce; z jeszcze większym usiadł.

— Płuacze, Iwuanowski—powiedział drewniano

Czech—niech więc wyjdzie za drzwi i tam niech płuacze sobie dualej.

Chłopiec wyszedł, stanął w korytarzu, a jego szloch rozpaczny niósł się do klas.

Od czasu do czasu zjawiał się we drzwiach z czerwoną mokrą twarzyczką, podnosił rękę i błagał

— Oskarze Wiktorowiczu, Oskarze Wiktorowiczu...

Czech-łacinnik najspokojniej odpowiadał mu każdym razem:

— Stań w kuorytarzu i stój tam.

Rozpoczął się dalej wykład. Następną lekcyą była religia.

— Iwanowski, czego płaczesz?—zapytał ksiądz —ronisz łzy jak zbity, skatowany.

— Do... dosta... łem jedność z łaciny — odrzekł z płaczem Pawełek.

— Trzeba się uczyć dobrze, a nie beczeć.

— Mnie głowa wczoraj... głowa — szlochał chłopiec.

— No, no, idź, idź się umyj, boś podobny do licha jakiego. Ucz się tylko, a będzie dobrze.

Iwanowski poszedł się umyć, a wróciwszy z nadzieją na lepszą przyszłość, pożyczył kajetu od sąsiada i zaczął przepisywać lekcye odrazu na dwa tygodnie naprzód. Będzie się uczył nieinaczej jak na pamięć lekcyj.

— Może, może przebaczą. Będę się teraz świetnie uczył, same piątki brał, a matka kupi gimnastyczkę domową.

Przypomniawszy sobie matkę, zaczął łkać ponownie. Ciężkie przeczucia ścisnęły mu serce. Ogarnął go niepokój, lęk straszny, niewypowiedziany.

I jak tylko zabrzmiał dzwonek, Pawełek, rozbijając wszystkich po drodze, co sił starczyło, pobiegł do drzwi kancelaryi nauczycielskiej i tam przystanął.

Zaczęła się tak zwana *duża pauza.*

Gimnaziści dokazywali na dole. Z za drzwi kancelaryjnych dobiegała rozmowa, śmiech.

— Przy drzwiach stali we dwóch Iwanowski z kolegą tejże co i on klasy, ale z innego oddziału z niejakim Iwanowickim, również drugim siłaczem w swym oddziale, również przygnębionym.

— A ty do kogo?—spytał Pawełka.

— Do łacinnika—jedynkę mi postawił. A ty?

— Do Niemca — odparł Iwanowski.—Wyznaczył mi godzinę kozy za hałas.

Obadwaj uderzyli w płacz.

Nareszcie Nikanor zwrócił się z łkaniem do Pawełka:

— Chcesz starę napoleońskie pióro zamienić na 86-e nowe?

— Mam osiemdziesiąte szóste i gumkę-zbieracza i obsadkę używaną?

— Na dyabła mi gumka, sam mam i żuję ją.

Mówiąc to, wyjął kawałek czarnej gumki, którą trzymał w ustach.

— Fi, cóż to za gumka, moja lepsza, można nią trzaskać doskonale! Chcesz, trzasnę cię w łeb?

— Trzaśnij!

— Ot, jak wali.

— Pozwól mi!

— Nie, bracie! Gumka taka do ręki przylega.

— Cóż to, ukradnę ci ją, czy jak?

— Któż cię tam wie!

— Sameś złodziej! Złodziej, a gumka psa warta!

— Cooo? Jak śmiesz za gumkę tak wymyślać, co?

Iwanowski rzucił się na kolegę, boksując go gdzie się dało.

— Cuo, tuutaj biić się? Znuowu Iwuanowsk Paweł! Muarsz puod ścianę. Zuostaniesz na guodzinę po lekcyach — wycedził Oskar Wiktorowicz, który w czasie bijatyki chłopców wyszedł właśnie z kancelaryi.

— Oskarze Wiktorowiczu, Oskarze Wiktorowiczu — zawołał Iwanowski, chwytając za frak profesora.

Ale Czech nie słyszał i wolno szedł na dół.

— Ja... będę się dobrze uczył... ja... zawsze.. tylko—biegło za nim.

— Kto tutaj krzyczy? Ty wrzeszczysz? — ryknął dyrektor, otwierając nagle drzwi kancelaryi.

Wszystko ścichło, nawet szlochu nie było słychać.

Ciężar jak kamień wielki gniótł piersi Pawełka.

— Cóż robić, cóż robić? Niech się dzieje co chce!

— Może, może nie będzie nic!

Na lekcyi francuskiego uspokoił się, próbował zagrać nawet w stalki, ale bez żadnego zadowolenia.

Kiedy zaś przed ostatnią lekcyą arytmetyki przyszedł pomocnik gospodarza klasowego i powiedział:

— Zanotowany i zostanie na godzinę Iwanowski Paweł! — chłopiec upadł zupełnie na duchu.

Gimnazyum pustoszało. Z wrzawą rozchodzono się. W jednej klasie było tylko z dziesięciu malców, a między nimi był także Iwanowski

Dyżurujący pedel siedział na katedrze i pisał liściki do rodziców.

— Iwanowski—zawołal chłopca i doręczył list tej treści:

„Paweł Iwanowski za jedynkę z łaciny, hałas i bijatykę pozostał na godzinę po lekcyach. A. Pokrowskij, pomocnik gospodarzy klasowych.“

Chłopiec, marzący o miejscu prymusa w klasie, wziął list, mówiąc w najwyższem rozdrażnieniu:

— Ja wcale nie hałasowałem, nie biłem się.

— Jutro proszę zwrócić list z podpisem rodziców — powiedział gospodarz klasy, puszczając malców o pół do czwartej.

Smutny, przygnębiony wychodził z gimnazyum Pawełek. Stąpając leniwie, ledwo, ledwo szedł przez pusty kurytarz i puste podwórze.

— Jeśli się zgodzisz, odprowadzę cię do domu —rzekł uczeń klasy trzeciej, pozostawiony również za karę po lekcyach za nieposłuszeństwo.

— Daj mi pokój—burknął gniewliwie Iwanowski i poszedł sam, lecz nie do domu, ale do kościoła. Po drodze wstąpił do kilku.

W każdym modlił się gorąco i długo, czując po takiej modlitwie uspokojenie i ulgę.

Nawet kiedy go jakiś przebiegający urwis zaczepił słowami: *„sztubak-dłubak“* — Iwanowski nie

odwrócił się, nie nawymyślał, jak być powinno, lecz pomyślał:

„Bóg kazał darowywać maluczkim. Odpuść mu Boże!

Bał się teraz czemkolwiek obrazić Boga.

Obiecywał, że będzie dobry, bardzo dobry — tylko byleby go nie oćwiczyli, nie zbili, jak wróci do domu.

Chwytał go lęk. Żegnał się co chwila.

Przypomniał sobie niedawną bijatykę podwórkową z rówieśnikami i przyrzekł nigdy już tego nie czynić.

Zaszedł znów do kościoła. Ukląkł i zaczął się modlić, błagając Boga, aby odwrócił karę cielesną, wstydząc się zarazem. że prosi o to Przedwiecznego. Po modlitwie gorącej rzekł sobie z otuchą:

— Tak, nie będą, nie będą już bili... Z pewnością...

Kiedy wyszedł na ulicę, już się ściemniało. Czuł głód, okrutny głód. Im bliżej był domu, tem więcej tracił wiarę i w modły i w to, że bić go nie będą.

— Jeżeli teraz z za węgła wyjdzie kobieta, mówił do siebie—będą bili, jeżeli mężczyzna—*nie*.

Wyszła kobieta – zła wróżba.

— Nie, nie — nie tak! Jeśli do rogu będzie parzysta liczba kroków, bić nie będą, nieparzysta będą...

Wychodziła liczba nieparzysta.

Iwanowski szedł coraz wolniej. Zatrzymywał się koło magazynów, przed większemi wystawami, wybierał najdłuższą drogę, wreszcie, znalazłszy się

blizko mieszkania rodziców, stracił nadzieję. Zatargała nim na moment głucha nienawiść do szkoły i do rodziców, do nauki, do wszystkiego.

Zaczął chodzić przed bramą.

Zapalono latarnie; stróż wyszedł na dozorowanie przed bramę. Spostrzegł chłopca.

— Oho, coś się przeskrobało, kiedy się tu chodzi, hm... hm... Z pod 16-go także będą bili ucznia. Kucharka była u mnie po rózgi, pewno i wasza przyjdzie, a no, przygotuję...

Iwanowski ścierpł.

Do sklepu w tej chwili przeleciała służąca jego rodziców, dostrzegła Pawełka i wróciwszy, powiedziała o tem swej pani.

— Przyprowadź go, natychmiast przyprowadź!

Panie Pawle — zawołała służąca, wybiegłszy przed bramę—pani prosi. Oj, będzie nie wesoło—powiedziała na schodach.

Pawełek cicho płakał.

Stanął w przedpokoju, szlochając.

— Wejdź—zawołała matka,—czegóż stoisz, czegóż się włóczysz po lekcyach, cóż się stało?

I ledwo chłopiec przestąpił próg pokoju, dostał od matki w twarz.

— Mamo, już nie będę! Mamo, już nie będę! —krzyczał z bólu chłopiec.

— Dobrze, dobrze, potem o tem! Cóż przyniosłeś!

— Och, mamo, niesprawiedliwie, wczoraj głowa mnie bolała, dziś...—szlochem skończyły się słowa.

— Pokaż konotatkę!

Iwanowska przeczytała list, zacięła usta spoj-

rzała na Pawełka, jak na jaką gadzinę i krzyknęła nieludzko:

— Co robić z tobą, łajdaku, co?

— Już nigdy, nigdy nie będę.

— Co mam robić! — krzycząc, podbiegła do chłopca i znów go uderzyła w twarz.

— Mamusiu, najdroższa moja, mamusiu!

— Czekaj hultaju! pomówię ja z tobą, pomówię!

— Potem—z ulgą myślał chłopiec – dobre i to...

— Idź się umyj!

Pawełek poszedł do kuchni.

— A ślicznie — rzekła doń stara kucharka.— Czemuż to Pawełek dyktand niepisze, nie uczy się— groźnie pytała, odgrzewając obiad dla malca.

Chłopiec nie odrzekł nic.

— Łobuzować się umiesz do nocy, ale dyktand pisać...

— Zamilcz—rzucił jej chłopiec.—Najprzód nie za dyktando, lecz za łacinę, oślaku jeden!

—*Oślaku?* tak mnie nazywasz, poczekaj-że. Będę cię przecież trzymała, jak rózgą dostawać będziesz. Poczekaj-że!

— Pawełek zaciął się. Niech katują, mruknął z nienawiścią—niech zabiją!

Jadł wolno zimny obiad, myśląc, że skona pod batem, że będzie umierał wśród bólu, wśród krzyku a kiedy skończy, napróżno matka będzie rwać włosy, błagać, by się przebudził.

— No, zjadłeś obiad?—krzyknęła Iwanowska.

— Pawełek zerwał się. — Zaraz, mamo, zaraz lekcyi się nauczę...

— Dobrze, ucz się, ucz, ucz! Poczekam.

Chłopiec wziął się do lekcyi. Pisał, czytał, kuł i męczył się, męczył.

— Czy już nauczyłeś się?—spytała sługa, wchodząc do pokoju chłopca.

— Nie, nie — mruknął z przerażeniem malec. Wziął książkę i czytał głośno, nic nie rozumiejąc, nic nie wiedząc, o co chodzi. „Wojska królowej zwyciężyły tatarów"...

Zdawało mu się, że nadejdzie chwila, kiedy ich dom napadną wrogowie. Wszyscy się zamkną w mieszkaniu i matka i służąca. On jak Efialtes zdradzi zamkniętych, wskaże drzwi ukryte, przyjdzie na czele wrogów. Pochwycą naprzód kucharkę, potem służącą młodszą, wsadzą obiedwie na dzidy...

Jakież męki będzie im zadawał, z jakąż rozkoszą będzie to robił, nim każe zamordować. A matka? Cóż z matką zrobi? Matce przebaczę—mówi, wspaniałomyślnie przebaczę, uwolnię ją. — Ot, rzeknę—matko...

W tejże chwili, z zaściany dobiegł krzyk bitego kolegi i zmroził chłopcu krew. Skurczonk, blady przerażony słuchał, jak mądry pedagogizm uczył.

— Słyszysz, zawołała matka, zjawiając się nagle w pokoju. — I ty tak będziesz krzyczał! — Powiedziawszy to, wyszła.

— A więc i matkę kazałbym zamordować — pomyślał Pawełek, rzucając znienawidzone spojrzenie swej rodzicielce. Tak i ciebie kazałbym poćwiartować, i gdybym słyszał, jak krzyczysz, milczałbym, nie bronił.

Po chwili weszła służąca.

— Pani powiedziała, że dosyć tych lekcyj,

resztę jeśli nie umiesz, to jutro się douczysz. Pani tu idzie, a ja rózgi też przyniosę.

Pawełek rzucił się na kolana przed matką, gdy tylko weszła.

— Mamo, przebacz, pozwól się jeszcze choć pomodlić.

— Módl się, módl! Rozbierz się wpierw.

Pawełek zaczął się modlić gorąco, błagalnie, drżąc z przerażenia, wymawiał wolno modlitwę po modlitwie, zwłaszcza tę, którą za matkę zwykł był mówić.

Podczas tego do pokoju weszła kucharka i głośno zapytała.

— Gdzie rózgi położyć? Doskonałe są, wyborne — szydziła.

Pawełek zerwał się z kolan.

— No, rozbieraj się — ostro rozkazała pani Iwanowska.

— Mamo!

Włóczył się na klęczkach przed matką chłopiec, błagał, prosił, przysięgał, że będzie dobrym uczniem.

— Niech Anna rozbierze tego gałgana — zawołała matka.

— Sam się rozbiorę — głucho odrzekł chłopczyna, z wściekłością patrząc na matkę i sługę — dwie oprawczynie.

Zaczął się rozbierać wolno, bardzo wolno.

— Anno, pomóż —

— Mamo, zaraz! — Po chwili był gotów.

— Kładź się.

— Pawełek błagająco spojrzał. — Tylko nie mocno! przez Boga — szepnął. Tylko nie długo,

prosił, starając się pochwycić rękę, która go miała bić za moment.

— Bez rozmów, kładź się!

— Mamo...

— Mam cię położyć?

— Mamo, zlituj się — —

— Anno...

— Nie trzeba, aby mnie Anna trzymała, sam będę leżał.

Nagle poczuł jak Anna schwyciła go za chude nóżęta i natychmiast potem przejął go palący ból.

Pochwycono go i za ręce — a potem ćwiczono, bito, znęcano się.

Krzyk, nieludzki ryk dobywał się z krtani, dziecka i mieszał ze słowami matki-wychowawczyni, która krzyczała: — Ucz się, ucz, ucz, nie bij się nie hałasuj!..

Krzyk głuszył słowa, słowa głuszyły krzyk.

. . . . . .

Półmrok... w ciszy odzywają się stłumione łkania.

Głęboko szlochając, spało skatowane dziecko.

A teraz pytanie:

Za co skatowano chłopczynę, zgnębiono jego duszę i ciało! Czy pojęto, czem jest życie dziecka, czem ono ma być?

CO TO JEST DZIECKO?

Co to jest dziecko?

Dziwne pytanie — nieprawdaż? Czy każdy z ojców potrafi na nie odpowiedzieć?

— Powiedzcie, co to jest dziecko?

— Dziecko — cóż za pytanie? Dziecko to... no... to przyszły człowiek! Ależ każdy rozumie, czem jest dziecko...

Pytanie samo nadzwyczaj mnie zaciekawiło, zwłaszcza w czasie obecnym, kiedy się tyle mówi o reformie szkolnej.

Zwróciłem się po wyjaśnienia w tym względzie do trzech ojców i otrzymałem trzy odpowiedzi.

I.

Gdybyś mnie pan zapytał, czy wierzę w nieśmiertelność duszy, bez wahania odpowiedziałbym;

— Tak.

Nie ulega to dla mnie żadnej wątpliwości, jest zupełnie jasne.

Nieśmiertelność duszy, to — dzieci.

Jestem nieśmiertelny, posiadając dzieci, nie umrę, jeśli mam dziecko i nie zginie wtedy to wszystko, co jest we mnie najlepsze.

Żyłem, walczyłem, pracowałem, myślałem, a to, co najlepszego wyrobiło we mnie życie, to, co najpiękniejsze jest w duszy mojej — przekażę memu następcy.

Tylko to, co jest najpiękniejsze! Weźcie pod uwagę!

Wiemy wszyscy, czem jest w egzystencyi kłamstwo umiejętne. Jednak dziecka tego nie uczymy. Mówimy mu:

— Kochaj prawdę.

Gorzka prawda uczy nas, że pochlebstwo — droga bardzo wygodna. Dziecku przecież zwracamy uwagę:

— Nie pochlebiaj, to nikczemne.

Czy dobro jednak zawsze jest najlepsze, pożyteczne i praktyczne?

Wiele zła, ohydy przynosi wszak dużo korzyści.

Nie uczymy jednak dziecka:

— Staraj się mądrze korzystać z niegodziwości, bo to bardzo człowiekowi w walce pomaga. Rób źle, a wyjdziesz na tem doskonale.

Nie dajemy dziecku tego praktycznego wychowania. Uczymy je miłować prawdę, dobro, które najczęściej szkodzi tylko człowiekowi.

Dlaczego?

Właściwie mówiąc, aby ułatwić drogę życiową, powinnno się powiedzieć: — Pieniądz — to wszystko. Zbieraj! Jakąkolwiek drogą, mniejsza o to, ale zbieraj! Czyń tylko tak, aby w razie czego nie złapać się. Uciekaj od ludzi, którym się niepowodzi; nie podpływaj do tonącego, bo i ty możesz utonąć. Ale, tak postępując, nie daj poznać swego egoizmu. Pamiętaj — teorya co innego, może być zawsze piękną,

dobrą, ale w praktyce tak postępuj, abyś był zadowolony.

Dlaczego, zamiast podobnych, istotnie pożytecznych rad, dajemy dziecku całą masę zacnych, takich, które później okażą się niepraktycznemi, niedogodnemi w życiu, które będą mu przeszkadzały, szkodziły w walce o byt.

Tak — dlaczegoż więc? z jakim celem?

A oto dlatego, że oddaję memu dziecku to, co jest we mnie najlepszego to, co jest mi drogie, święte, a ztąd nieśmiertelne.

Dążę, by najpiękniejsza cząstka mej duszy pozostała w dziecku mojem, stała się nieśmiertelną.

Takie dążenie jest właśnie bezwiednem pragnieniem wieczności.

Dziecko, to—rzeźba.

Ja zaś jestem, jak Pigmalion, który chce tchnąć w dzieło własne duszę, aby to dzieło istniało dal ej po mojej śmierci.

Mam swe ideały, fantazye, swoje rojenia. Nie dożyję do ich urzeczywistnienia, ale może dziecko me dożyje, a nie, to syn mego dziecka, któremu on znowu pokaże moją duszę.

I kiedy mój wnuk zobaczy rzeczywistość, ziszczenie mych rojeń i kiedy powie:

— Dziad roił jeszcze o tem, gdybyż widział spełnienia swych marzeń! Te słowa wyrazi wówczas moja dusza.

Nieraz mówią o człowieku:

— Oto człowiek, który nie umarł, lecz żyje przez własne dziecko. — Starcy, pamiętający ojca, z radością patrzą na duszę, na twór tego, którego

znali, patrzą na młodego, jakby był dobrym ich znajomym.

Skąpiec pragnie, aby i syn jego był skąpcem. Kochający ludzi żąda, by i dziecko jego czyniło to samo.

Czemże jest to wszystko? Żądaniem nieśmiertelności dla siebie.

Posłuchaj pan, w tej chwili, kiedy piszę do pana, mój syn w sąsiednim pokoju kuje historyę Iłowajskiego, książkę tego autora tylko, a nie historyę powszechną, z którą podręcznik ten nic wspólnego nie ma. Przypomina mi on poprzekręcane fakty, kłamliwą naukę.

Jest ona przez to wstrętna, a jednak wbijają tę ohydę, kładą do mózgu.

Cóż powinienem zrobić?

Pójść i powiedzieć:

— To, coś przeczytał przed chwilą, jest kłamstwem. Inaczej rzecz się miała!

— Dobrze, że powiedziałeś mi ojcze. Tak, jak mówisz, odpowiem!

— Nie, mój chłopcze—będę zmuszony odpowiedzieć —musisz umieć to, co jest w książce, prawdę zachować dla samego siebie. Kłam, myśląc

Leży przedemną gazeta. Jakiś X. proponuje wprowadzenie nauki „dumy narodowej". Wspomina z zadowoleniem, jak gdzieś w Niemczech uczniowie śpiewali pod batutą nauczyciela:

„Deutschland, Deutschland ueber Alles,
Ueber Alles in der Welt!"

Proponuje spacery z podobnym śpiewem u nas.

Myślę, że wszędzie powinna być sprawiedliwość, a nie tylko w Niemczech?

Pocóż ten fałsz dla mego dziecka?

Chcecie dawać polityczne wychowanie dzieciom? Pocóż! Za mali na to. Naraz mam u siebie przedstawiciela jakiejś partji! Też przyjemność mieć w domu dziwoląga.

Polityka w szkole nie na miejscu.

Żądam, aby szkoła dała memu dziecku trzy rzeczy: wiedzę miłość do wiedzy, umiejętność uczenia się i osiągania nauki

Niech będzie rozumnym, niechaj chce pracować i niech umie to samo czynić. A z wiedzą przyjdzie *miłość*.

To tylko, co znamy, jest nam blizkie, ukochane. Znajomość rzeczy prowadzi do umiłowania. Kiedy poznacie człowieka, jego myśli, jego serce, radości i smutki, przeszłość całą — wówczas zrozumiecie przyczyny każdego jego postępku, współczujecie mu i żałujecie zła, któreby was oburzyło, gdybyście nie znali danego indywiduum, nie wiedzieli o przyczynach, o powodach. Pragniecie mu pomódz, bo ten człowiek jest wam blizki, bo go lubicie.

Toż samo można powiedzieć o całym narodzie, o całym kraju:

Poznaj, a pokochasz.

Etnografowie dlatego tak lubią naród, który studjowali. Lubią, bo — wniknęli w jego byt, wniknęli głęboko.

Niechaj więc szkoła daje tylko wiedzę.

Kiedy syn znać będzie swą ojczyznę, historyę i literaturę swego kraju, jego byt — będzie kochał

własną ziemię. A co będzie uważał „ueber Alles“ to rzecz ojcowska.

Tak świat będzie widział, tak go będzie cenił jak i ja. A kiedy umrę, pójdzie on temi drogami, któremi ja szedłem,

I moja dusza pójdzie w jego ciele.

Czystej wiedzy, miłości do niej, umiejętności pozyskiwania nauki — oto czego pragnę od szkoły, wszystko inne to rzecz rodziny. Jeśli ja dziecku nie zaszczepię swoich ideałów, to pocóż żyję i po co jestem ojcem?

II.

Co to jest dziecko—pisze drugi ojciec—odpowiedź prosta.

Dziecko to nieszczęście, którego trzeba unikać, a w ostateczności złagodzić. Żyłem i wiem, co to znaczy. Za minutę szczęścia—lata nieszczęść.

Dobrze myślą ci, co mówią: szczęście to brak cierpienia, pozytywnem zaś jest tylko to ostatnie.

Dlaczego wogóle nie przerwę swojego bytu? Znalazłem się w złem miejscu, a jednak tkwię w niem. Wydawać się to może dziwnem.

Dlaczego mieszkaniec domu noclegowego nie może go opuścić?

Dajcie mu pieniądze, przepije grosz i wróci do przytułku.

Zaprzeczycie; może powiecie, że on inaczej zrobi, oporządzi się... złudzenie. Podejmując przyjaciół z noclegów, przepije wszystko z nimi i wróci na tapczan.

Ma się ochotę uciec, a jednak nie czyni się tego. Dlaczego?

Przyczyna prosta: słabość woli.

Przyzwyczajenie do życia, chęć do tego — oto wszystko.

Sam sobie wyrzucam to jakieś nałogowe żądanie wegetacyi i tak samo jak alkoholik, robię sobie wyrzuty za to, że upiłem się życiem, jak on upija się wódką. W nędzę, którą widzę, czuję, której dotykam się na każdym kroku—zawlokłem drugiego. Mam dziecko.

Przez nieostrożność dałem mu życie, stworzyłem nowe nieszczęście. Ale skoro już tak się stało, pragnę przynajmniej jakoś je zabezpieczyć przed walką, przed smutkami, przed gorzkim losem człowieka. Oddaję więc je do szkoły, mówiąc:

— Zabezpieczaj się.

Od szkoły żądam: umiejętności obrony przed losem, aby kiedyś mogło to moje dziecko być górą nad innymi.

Wiedza, według mnie, to środek do uzyskania przewagi w obec przeciwnika. Pan X. wie, kiedy się rodził Cyrus, kiedy umarł Cezar, jak długo ciągnęła się wojna między Białą a Czerwoną Różą—uczy więc tego drugich.

Służąca jego ponieważ nie wie nawet, w którym się roku rodziła, smaży się przy blasze, gotując obiad. Gdyby pan X. nie posiadał swych wiadomości, musiałby czyścić buty, natomiast sługa, gdyby miała wiedzę odpowiednią, byłaby nauczycielką, nie kucharką.

Ztąd — pytanie co do szkoły— bardzo proste.

Jaknajwiększa ilość potrzebnych wiadomości— inaczej tego uczcie, co można wymienić na pieniądz, aby zań żyć — po za tem uauki, podnoszące duszę, rozszerzające horyzonty, to wszystko jest niepotrzebne, bo im więcej się wie, tem więcej się cierpi.

Po cóż więc zadawać cierpienia, po co więcej uczyć nad to, co się przydać może.

Zatem konkluzya: masz dziecko, ucz je, czyli daj mu broń do zwalczenia przeciwności, niechaj ta broń jednak będzie li i tylko czemś pozytywnem

III.

A oto list trzeci:

Dziecko to podatek od miłości — podatek, idący na korzyść państwa; to płaca za pocałunki.

Jako ojciec jestem dostawcą surowego materyału.

Dostarczam państwu, społeczeństwu dziecko. Państwo zaś samo już musi z niego zrobić odpowiedni dla siebie podmiot, uczyuić je potrzebnem, a więc: oficerem, doktorem, adwokatem, profesorem i t. p. Na to są szkoły. Co do mnie, ja, jako dostawca, stoję na uboczu. Dostarczyłem na odpowiedni termin to, co było potrzebnem — i koniec.

Od godziny 9-tej do trzeciej materyał obrabia się – szlifują go, polerują w szkole. Po trzeciej odsyłają mi na przechowanie do jutra rana. Przez ten czas przechowywania, muszę ten materyał mieć w pieczy, aby się nie zepsuł. I mam go.

Oto moje zdanie, jak i czem powinny się regulować stosunki między szkołą a rodziną.

Nie szkoła powinna mieć na uwadze, czego rodzina potrzebuje, a właśnie rodzina śledzić powinna za tem, czego chce szkoła i to robić.

Uczono języków starożytnych, zapędzałem do nich syna.

Teraz podobno greckiego nie uczą. To też, kiedy ujrzę, że syn czyta pocichu Homera, zabraniam mu tego.

Oto więc, czem jest dziecko i jakie powinny być istotne łączniki pomiędzy ojcem a synem.

. . . . . .

Podobały mi się wszystkie trzy listy, ale zrobiłyby lepsze wrażenie, gdyby nie miały małych dopisków.

Pod pierwszym było:

„Czyby nie można pomieścić mego listu w jakiem piśmie; jeżeli tak, to proszę o wymienienie całego mojego nazwiska."

Pod drugim:

„List mój, zdaje się, jest w dzisiejszym stylu. Jeżeli będzie wydrukowany, proszę przysłać mi egzemplarz gazety. Będę wdzięczny. Mam reputacyę pesymisty. Podobno czyni to człowieka więcej interesującym."

Pod trzecim:

„Czy nie byłbyś pan łaskaw, niby od niechcenia, pokazać list mój przy sposobności jego Ekscelencyi P. P.? Panu to wszystko jedno, mnie zaś na tem bardzo zależy: ma być *vacat* na wyższą posadę, którąbym bardzo pragnął zająć. Otóż wyrażone przekonania moje, kto wie, czy nie pomogłyby mi do tego; wogóle radbym, aby Ekscelencya wiedział, co myślę. Będę panu bardzo wdzięczny.

Rodzina i Szkoła.

Pewnego pięknego ranka pan kurator petersburskiego okręgu naukowego — zdaje się człowiek bardzo dobry, obudził—się w doskonałem usposobieniu.

W takiem to usposobieniu król Henryk IV kiedyś wykrzyknął:

— «Chciałbym, aby każdy z moich poddanych miał na obiad kurę!

W doskonałem tem usposobieniu pan kurator petersburskiego okręgu naukowego, zwrócił się do panów dyrektorów, prosząc, aby ci napisali do rodziców, zadając im następujące pytanie:

„Jak, zdaniem ich, będzie lepiej — czy stawiać stopnie za każdą odpowiedź lekcyi, czy też za pewien przeciąg czasu, dajmy na to, za dwa, trzy tygodnie?“

Pierwszy więc zdarzył się mądry wypadek zaproszenia rodziców do rozstrzygania kwestyi dotyczącej szkoły.

Myśl piękna, doskonała.

A rezultaty? Rezultaty były następujące:

— Wolimy system dawny.

Pan kurator zdziwił się. Czyżby rodzice byli zadowoleni z obecnych i dotychczasowych porządków szkolnych?

Nie.

Więc nie potrafili odpowiedzieć, ścięli się na pierwszym egzaminie?

I pan kurator gorzko się uśmiechnął, mówiąc:

— Pytajże tu rodziców! —

Nie bierzmy dalszego czasu nad lat 31. Rodzice, czy opiekunowie a szkoła, to byli dwaj wrogowie, dwa nienawistne sobie obozy.

Nie było nauki lecz posłuszeństwo szkolne — dyscyplina à la wojskowa; było dzielenie i dodawanie, nie nabywanie wiadomości.

Dodawało się i dzieliło stopnie.

Chłopiec dostawał jedynkę. Znaczyło to, że trzeba albo odrazu spróbować szczęścia i dostać piątkę, albo spróbować szczęścia i dostać dwie czwórki, a to dlatego, że:

$1+4+4=9$; $9:3=3$, czyli *dostatecznie.*

Otrzymawszy piątkę, mógł chłopiec na następny raz dostać jedynkę, gdyż:

$1+5=6$; $6:2=3$.

Mając dwie dwójki za parę tygodni nieuczenia się, potem jednę piątkę wystarczało także, bo:

$2+2+5=9$; $9:3=3$.

Trójka—to wszystko, stopień—to alfa i omega.

— Janku, Janku trzeba się uczyć. Masz jedynkę, musisz mieć teraz piątkę.

— Janku, dlaczego nic nie robisz?

— Mam piątkę, matko.

Słowem rzęd arytmetycznych zadań z takim rezultatem, tak obliczonych, aby w końcu wypadła trójka.

Rodzice nienawidzili szkołę, szkoły rodziców. To też o ile tylko było można, uwalniano dziecko od obowiązków szkolnych.

— Napisz, matko, do dyrektora, że głowa mnie bolała—inaczej znów przyniosę jedynkę.

W szkole z niezadowoleniem patrzono na podobne manewry rodziców.

— Znów list! Nie wierzę. Mogą sobie Bóg wie co napisać!

W bliższy stosunek z rodzicami wchodzono tylko w razie katastrofy.

„Zawezwę rodziców!" albo „napiszę do rodziców" — nie mogło być większej ponadto groźby ze strony przełożonego.

„Takie wezwanie" stawało się czemś rozpaczliwem dla rodziców. Miało ono charakter jakiejś żałoby, jakby wiadomości o śmierci.

— Do czegoś doprowadził? Piszą do nas? Co teraz będzie?

Ojciec i matka parlamentowali w takich wypadkach.

I oto gdy po 31 latach zapytano rodziców, jaką powinna być szkoła, rodzice nie wiedzą, co odpowiedzieć.

Zkąd-że możemy wiedzieć—mówią—jaką powinna być szkoła, alboż my ją znamy? Wiemy, co to jest „kancelarya" dla małych „urzędniczków", ale szkoła?..

I gdyby dzisiaj zapytać w Rosyi kogokolwiek z inteligencyi, jaką powinna być szkoła—to nikt na to pytanie nie odpowie.

Od lat trzydziestu natomiast, rzekną wszyscy, znamy kancelaryę a nie szkołę. Przytem każdy obawia się reform.

— A jeśli będzie jeszcze gorzej?

I rzecz naturalna, kiedy pedagodzy chcieli się

zwrócić do rodziców, ofiarując im przymierze, rodzina zwrot ten przyjęła lękiem.

— Jak stawiać stopnie: za jedną lekcyę wydaną, czy też za pewną ilość tygodni, za pewien czas nauki?

Z dwojga złego człowiek wybiera mniejsze, ostrożność zaś nakazuje trzymać się dawnego porządku, więcej znanego.

Rodzice zwykle tak sądzą:

— Stopień za oddzielną, często złą odpowiedź — naturalnie to bezsensowne. Chłopiec mógł się nauczyć wypadkiem, nie zrozumieć zadanej lekcyi— zatem dostał jedynkę. Ale przez cały ciąg nauki ma sposobność poprawiać się. Po jedynce może być piątka—i już dobrze, po dwójkach—czwórki— i wszystko w porządku.

Dwa, trzy tygodnie—to za mało czasu, a nuż się nie poprawi? A nuż postanowią tylko raz na miesiąc stawiać stopnie? Kiedyż w takim razie dziecko poprawi się, jeśli będzie miało stopień niedostateczny?

Przed samą cenzurą najspokojniejsi z rodziców obawiają się stopni.

— Odpowiadałeś, ileś dostał, ucz się, zlituj się! Popraw stopień!

Obliczania arytmetyczne robią się w naprężeniu.

Stopnie, stawiane za pewien przeciąg czasu nauki, a nie za jedną często wypadkowo złą odpowiedź — to wydałoby się lepsze; można przez ten termin przekonać się o istotnych postępach chłopca.

Prawda, lecz któż zaręczy, że nauczyciel, przywykłszy do stawiania stopni, nie umiejący inaczej

oceniać zdolności, ani postępów, jak tylko przez system not, nie zaprowadzi małej kieszonkowej książeczki i nie zacznie w niej cichaczem stawiać stopni, aby po dwóch tygodniach dodać sobie i podzielić:

$3+2+3+1+3=12;\ 12:5=2^{2}/_{5}$ czyli 2.

Lepiej gra niech będzie już otwartą. Łatwiej się wtedy upilnować, łatwiej się nie dać.

W cyrkularzu o stopniach władza szkolna obiecuje informować rodziców o postępach, o tem, w czem chłopiec jest słaby, ale... ale...

Kiedyż nastąpi taka informacya, przed samem wypędzeniem z gimnazyum?

A do tego właśnie się przyzwyczajono.

Władza szkolna wzywa, aby powiedzieć:

— Syn się źle uczy, albo przenieście dziecko do innej szkoły, albo pozostawiamy syna na rok drugi w tejże klasie, czy też coś „pocieszającego" w tym rodzaju.

Następnie:

Zanotuje w swym notatniku nauczyciel jedność lub dwójkę raz, drugi, trzeci. Czy będzie w tej chwili wzywał z tego powodu ojca, by mu o tem powiedzieć? Na to nie starczyłoby czasu — słowem, przyślą zawiadomienie, kiedy już nie będzie ratunku.

Niechaj więc zostanie jak było dawniej — *„po kaucelarski."*

Taka decyzya doprowadzi do rozpaczy tych, co chcieliby reform jakichkolwiek.

Sami rodzice patrzą na szkołę, jak na coś fatalnego, jednak na nic nowego przystać nie chcą.

Ale, bo też rodzice mają za sobą trzydzieści

lat z górą praktyki. Każdy nowy okólnik — rzecz nie do uwierzenia — nie znajdująca wiary.

Trzeba było władzy zrobić kilka kroków na spotkanie, zmienić swe postępowanie urzędowe, dyscyplinarne, na prawdziwie pedagogiczne i wtedy zapytąć rodziców:

„Jakich żądacie porządków, jakiego systemu nauki?"

Odpowiedzi rodziców byłyby z pewnością inne niż teraźniejsze. Obecnie? Choćby ojcowie wiedzieli, czem powinna być szkołą — odpowiedzą:

Chcemy tego i owego; ale ty, władzo, będziesz cichaczem swoje robiła.

Tym sposobem trzydziestoletnia wojna nigdy się nie skończy pokojem.

Można ręczyć, że w całej Rosyi inteligentnej nikt obstawać nie będzie i nie obstawał za klasycyzmem. No tak. Ale cóż robić z tymi szeregami „łacinników" i „greków" — co robić z nimi? Czy oni co więcej potrafią, czy umieją co ponadto, co było potrzebne do kładzenia w głowę dzieci? Czy ich obchodzi co po za *extemporale'm* i stopniami, koniecznie stopniami, czy mają oni pojęcie o pedagogice? Nie i nie i jeszcze raz nie...

Cała nauka to stopnie, stopnie i jeszcze raz stopnie, cała wiedza polega na tej osławionej *trójce*, jako nocie *dostatecznej!*

Zaproponować takim pedagogom:

Nie stawiajcie panowie stopni — a natychmiast znajdzie się u każdego notesik, gdzie dla siebie będą kreślili jedynki, dwójki... dla pamięci... Będą je dodawali potem i dzielili:

$3 + 2 + 3 + 1 = 12$; $12 : 5 = 2\ ^2/_5$ — czyli — 2.

I rodzice, wiedząc, na czem polega cała pedagogika, jak ci pedagogowie traktują naukę, wolą, aby przebieg sprawy, dotyczący „Pawła Iwanowskiego", obwinianego o ciągłe uchylanie się od obowiązków szkolnych, był jawny, a nie tajny i — kto wie — może to jest słuszne.

NAUCZYCIEL.

Artemiusz Filatowicz Erazmow — jest to człowiek wysoki, zgarbiony, lat pięćdziesięciu pięciu, na wygląd czterdziestu paru, o ryżych, siwawych włosach — jedno z tych gorzkich, złych indywiduów, z których fizyonomii odrazu poznacie pedagoga albo urzędnika departamentu.

Nie darmo rozumni obrońcy starają się, o ile tylko można, wykreślać pedagogów z koła sędziów przysięgłych. Bo czyż mogą być nimi!

Przesiadywanie w szkole wieczorem poprawianie kajetów, zajęcia w radzie pedagogicznej, latanie za lekcyami, wieczne powtarzanie jednego i tego samego rok rocznie, dzień w dzień, wiecznie w koło— wszystko to wypala duszę, obraca wniwecz wszelkie drgnienia.

I dusza przekwita, jak przekwitają oczy, tacy ludzie więdną. Wzrok ich staje się ołowiany, twarz wykrzywia złość, przedwczesna siwizna nadaje jej wyraz posępny i smutny.

Ciągną oni taczkę swego życia, jak konie zapędzone do pracy, ciągną, aby w rezultacie zarobić sto rubli miesięcznie.

Dla ludzi tego rodzaju natura stwarza szczególniejsze żony — kobiety, które przepysznie rozkwitają, aby pociągnąć tem jakiego młodego nauczy-

ciela, wyjść zań i potem niknąć, bleknąć, wreszcie po dwu latach stać się dziwadłem.

Ich oczy zapadają, włosy rzednieją, policzki bledną, zaczynają one cierpieć na bezkrwistość i „nerwy".

W tym że czasie paniom tym zdaje się, że właśnie są piękne, że tylko stroić się trzeba, by podnieść urodę.

Ponieważ jednak za sto rubli miesięcznie sukien bardzo kupować nie można, więc odbywają się w domu sceny, kłótnie, awantury i napady histeryczne.

Oprócz szczególniejszych żon, mających tupet do ogromnie prędkiego starzenia się, a ciąglego uważania się za młode, natura stwarza dla tych ludzi odrębne zupełnie kucharki.

Są to poprostu wiedźmy, którym satysfakcyę sprawia tłuczenie porcelany, niszczenie wszystkiego, co tylko należy do chlebodawców, mówienie państwu głupstw, trucie ich, psucie im krwi i tak już dość nadpsutej.

Zły obiad, niedogodne mieszkanie, kredyt groszowy, żony histeryczki, konieczność odmawiania sobie wszystkiego o to—*życie*.

I kiedy Filatowicza częstowano dobrym papierosem przyprowadzano go tem do wściekłości.

— Niech dyabli wezmą—mawiał—palą przecież ludzie dobry tytoń — a tu nawet tego trzeba sobie odmawiać.

I gdyby kto nie znał egzystencyi takiego Filatowicza, mógłby mniemać, że składa się ona ze spokojnego wypełniania obowiązków i zaspokajania skromnych potrzeb.

Przyjrzawszy mu się bliżej, dojrzy się przecież że ta egzystencya zatruta jest żółcią, przeniknięta bezsilną złością, przepojona nienawiścią. Nienawiścią do wszystkiego.

Do żony — koszlawej, brzydkiej kobiety, która go gnębi, ciskając przez zęby: „zgubiłeś mnie zmarnowałeś moje życie, moją młodość... ty nędzarzu, nędzarzu!

Do kucharki, która z wyjątkową złośliwą radością mawia do niego:

— He! he! lewy but pełen okieneczek, he he! a której boi się cokolwiek powiedzieć, aby nie usłyszeć wymyślań w rodzaju:

— Za osiem kopiejek rosołu nie nagotuje!..

Nie cierpiał też Filatowicz swoich kolegów podobnych do niego katorżników, biedaków, którzy padali nie omal plackiem przed dyrektorem, intrygowali, plotkowali, całując po mankietach „naczalstwo"; byle tylko wyżyć, wyżyć.

Artemiusz Filatowicz nienawidził ich i pogardzał nimi.

Uczniowie bali go się, jako „starej powagi", nie przyjmującej żadnych wymówek.

Wiedział on, że tylko postrachem trzyma tych małych niegodziwców, gotowych wyśmiać go, lub zrobić mu przykrość.

Tej przykrości oczekiwał co chwila.

Wiedział o swem zaocznem przezwisku „żyrafa" i, wchodząc do klasy, widział jak na tablicy zwierzę to było wyrysowane.

Musiał udawać, że nie zwraca na karykaturę uwagi.

— Znowu tablica zamazana? Dyżurny proszę zetrzeć!

A kiedy spełniono rozkaz, tu i owdzie drżał chichot między chłopcami.

Maczając pióro, aby postawić notę wdzienniku Artemiusz Filatowicz robił kleksa: kałamarz napełniony był muchami.

W klasie znów śmiech cichy, ironiczny.

Wówczas uderzał w pulpit katedry i, udając znów, że nie rozumie przykrego żartu, wołał dyżurnego.

— Cóż to muchy w kałamarzu?

W oczach dyżurnego tliła się źle ukrywana nienawiść.

— Nie pilnujesz porządku!

— Muchy same powpadały do kałamarza, panie profesorze, mówił dyżurny wstrzymując się od śmiechu, tak jak Filatowicz wstrzymywał się od wytargania za uszy.

A w klasie ponowny przyciszony śmiech.

Kpiono sobie z niego mimo strachu, żartowano; patrzył więc na nich z nienawiścią, myśląc jednocześnie, komuby wlepić pałkę, komuby kazać cierpieć.

— Gdyby mnie spotkało straszne nieszczęście —oni cieszyli by się z tego! myślał. Całą duszą nienawidził też chłopców, którym życie przecież poświęcał. Nie znosił uczniów, którym dzień w dzień jedne i te same reguły wbijał do głowy.

I ten to człowiek, przedwcześnie zestarzały, neurastenik, chodząca gorycz, nienawiść wcielona — rozpoczął wojnę z Aleksandrem Podgórskim, uczniem klasy czwartej.

Ta wojna rozpoczęła się od nic nie znaczących kwestyi, od bagatelek.

Filatowicz tylko co miał jedną z tych zwykłych piekielnych scen domowych.

Żona rzucając się w histerycznym napadzie, jęczała:

— Po co się żeniłeś, nędzarzu? Po coś zmarnował cudze życie? Teraz co? długi, dłużki, sklepikarz grozi sprawą! Pójdę do dyroktora, dosyć tego!

W kuchni wrzeszczała kucharka tak, żeby w pokoju było słychać:

— Nie będę u nędzarzy służyć, na nic nie mają, po co sługę trzymać.

Filatowicz wśród krzyku i płaczu wybiegł z domu.

Szedł ulicą nic nie spostrzegając, nie widząc i przeklinając dzień swoich urodzin.

Nagle przy skrzyżowaniu ulic został obryzgany błotem od stóp do głów.

Bryzgi błota wylatując z pod kół gumowych zalepiły mu okulary.

Rzecz zwykła w każdem większem mieście.

Filatowiczowi zdawało się w tej chwili, że go okrutnie zbezczeszczono, że mu dano w twarz.

Jego, nędzarza obrzucono błotem, jego nieszczęśliwego pracownika. który życie całe poświęcił wychowaniu młodych pokoleń...

Podniósł głowę.

Z pędzącego pojazdu ukłonił mu się uczeń czwartej klasy—Podgórski w wąziutkiej, pruską formą robionej czapce, w zgrabnym szynelu.

Ukłonił się z ironią, ze zjadliwością, jak się wydało profesorowi.

Czyż mógł inaczej się kłaniać? On, pan, obryzgujący gumami powozu biednego nauczyciela, którym niezawodnie pogardzał, jako nędzarzem.

— Gałgan... niegodziwiec — syknął Filatowicz.

Łzy ścisnęły mu krtań. Stanął wściekły miotając groźby.

Na drugi dzień, gdy tylko Filatowicz, przyszedł na korytarz szkolny, podbiegł do niego Podgórski.

Elegancki, wytworny, w obcisłej kurtce, uczesany modnie—ideał gimnazisty—panicza, kłaniając się zaczął profesora przepraszać, usprawiedliwiać się.

— Wybaczy pan profesor... Zdaje mi się, że obryzgałem wczoraj pana... Słowo daję nie umyślnie... stangret nie mógł utrzymać konia... odrazu chciałem przeprosić pana profesora, ale klacz omal nie ponosiła... rącza... młoda...

— Śmie mu o tem mówić ha! Śmie chwalić się końmi...—poszedł precz, precz—krzyknął Filatowicz, wściekły na przepraszającego.

— Żyrafa idzie, panowie, żyrafa—zły, jak pies —zawołał dyżurny.

Klasa przycichła.

Artemiusz Filatowicz istotnie w najwyższem oburzeniu wszedł do klasy.

Milcząc, otworzył dziennik, wytrzymał pauzę i wśród martwej ciszy, takiej, że można było lot muchy usłyszeć, drewnianym, złowrogim głosem rzekł.

— Podgórski Aleksander proszę do lekcyi.

Podgórski wyszedł na środek klasy i zaczął recytować zadane.

— Nie tak—źle!

Chłopiec zaczął inaczej.

– Nie tak...

Uczeń się zatrzymał.—Tak źle, tak niedobrze. Zamilkł.

— No, panie Podgórski...

— Nie umiem inaczej — odparł, czerwieniąc się, to blednąc.

— Jedność.

Artemiusz Filatowicz z najwyższem zadowoleniem stawiał stopień w całej kratce dziennika.

Najfatalniejsza rzecz stała się — dostał jedynkę.

Czując niesprawiedliwość, Podgórski był wzburzony.

— Proszę na miejsce! Trzeba się uczyć, a nie rozbijać dorożkami w pruskiej czapeczce. Pruski junkier!—ryknął Filatowicz.

— Żadną dorożką nie jeździłem, bo nie potrzebuję; chwała Bogu, ojciec ma własne konie! Co zaś do czapki—ta nic nie ma wspólnego z lekcyami. Taką noszę, jaką mi ojciec nosić pozwala—ot co!

Artemiusz Filatowicz mienił się.

— Milczeć! Na miejsce! Śmiesz jeszcze rozmawiać!

Nigdy nie zwracał się do uczniów inaczej, jak przez „wy", tym razem jednak nie panował nad sobą. —Łotr, niegodziwiec, śmie jeszcze rozmawiać!— wyrywało mu się na drżące wargi.

— Na miejsce iść mogę, wymyślać zaś nie masz pan prawa, żadnego prawa! — warczał, odchodząc, Podgórski.

— Precz z klasy! — ryknął nauczyciel tak, że było słychać aż w korytarzu.

Podgórski, ironicznie się uśmiechając, pewny siebie, wyszedł.

Filatowicz, wściekły, nie wiedział, co robić. Stawiał jedynki, piątki, podpowiadał sam, to piorunująco odsyłał na miejsce, albo groził aresztem.

Gdy tylko skończyła się lekcya, profesor pobiegł do kancelaryi, żądając widzenia się z dyrektorem.

— Podgórski Aleksander...

— Pan tak krzyczałeś—przerwał mu z niezadowoleniem dyrektor—cóż tam?

— Podgórski impertynent, proszę go ostro ukarać!

— Podgórski? Któryż to? — Ach, przypominam sobie... syn Podgórskiego... on się dobrze uczy?

— Tak... ale impertynent, za dużo sobie pozwala!

— Dobrze, dobrze, ale krzyczeć, przeszkadzać innym... Podgórskiego ukarze się, proszę jednak pana, aby na przyszły raz nie przeszkadzać hałasami... to nie pedagogicznie... wogóle proszę, aby to się nie powtarzało.

Rozkazano inspektorowi przeczytać Podgórskiemu admonicyę, przeczytać wobec całej klasy.

Zostawiono go za karę na 3 godziny w kozie.

— Wiecie za co to wszystko—zwracał się do kolegów Podgórski,za to, że wczoraj obryzgałem żyrafę błotem. Będzie-ż on mnie pamiętał!

Między tym starcem a chłopcem była więc wojna wypowiedziana, wojna na śmierć.

Podgórskiego po to tylko pytano, aby mu stawiać dwójki, jedynki, a za najlepsze odpowiedzi trójki. Przytem Filatowicz umyślnie wszystko robił, aby chłopca złapać, aby go zgnębić.

— Żyrafa mści się, mówiła klasa, z zaciekawie-

niem śledząc wojnę między uczniem i nauczycielem.

— Przepisane, ściągnięte zadanie — ze złością wołał profesor, zwracając Podgórskiemu kajet z dobrze odrobionem ćwiczeniem.

— Nie przepisane—z zimną krwią odpowiadał Podgórski, zuchwale patrząc na Filatowicza.

— Na miejsce—rozkazywał nauczyciel, wzburzony zuchwałem spojrzeniem, czując słuszność po stronie ucznia.

Miał sam już dość tej głupiej wojny. Trudno się jednak było cofać.

— Cóż sobie pomyśli ten hultaj, co pomyśli klasa?

Wojnę śledzono, z pytaniem?—Co będzie?

— Erazmow chce, zdaje się, aby dano mu prywatną lekcyę u Podgórskich!—szeptali z uśmiechem nauczyciele-koledzy Filatowicza.

Dorozumiewał się, co w kancelaryi mówią i nagle po jedynkach zaczął Podgórskiemu stawiać piątki.

Tracił głowę w tej wojnie, nieustającej ani na sekundę.

Filatowicz nie mógł podejść do tablicy. Czuł na sobie przenikliwy, urągliwy wzrok Podgórskiego, czuł, że ten śledzi go, uważa na każdy ruch, na każde słowo, na każde spojrzenie „żyrafy".

I tak było wistocie. Z jakąś brawurą, śmiało, wyzywająco biegły oczy Podgórskiego za Filatowiczem. Tliły się ironią, zjadliwością i dumą.

Któregoś dnia przybył do gimnazyum inspektor okręgowy.

— Przyjechał—mówiono wszędzie.—Jest—szeptano.

W klasach, na korytarzach panowała wyjątkowa cisza.

Inspektor wszedł do klasy Filatowicza, przywitał profesora, uczniów i, wziąwszy dziennik, rzekł:

— A ot musi być zdolny: dwie piątki z rzędu.—Podgórski Aleksander, proszę...

Uczeń podszedł do tablicy, nie spojrzawszy nawet na Filatowicza.

— Opowiedz mi pan wczorajszą lekcyę — powiedział inspektor.

Filatowicz zbladł, czuł, że Podgórski coś na złość uczyni.

Ale Podgórski tylko — milczał, nic, tylko milczał.

— Przepraszam pana—zwrócił się doń inspektor—pan nie odpowiada, wszak za to wczoraj postawiono celujący.

— On wczoraj...—zaczął Filatowicz i umilkł.

Chłopiec milczał, urągliwie, zwycięzko patrząc na profesora.

Będący świadkiem tej sceny dyrektor czerwieniał, bladł i znów czerwieniał.

— Szczególne — rzekł z niezadowoleniem inspektor. — Widocznie źle uczniowie przedmiot *przyswajają*. Uczą się mechanicznie... Wczoraj umiał, dziś, nie... Siadaj pan, panie Podgórski! Trzeba lepiej pamiętać to, czego się uczyło.

Inspektor, nie chcąc stawiać jedynek, zanotował „notabene"; następnie, skinąwszy głową, wyszedł wraz z dyrektorem, mówiąc do ostatniego:

— Źle, widzę, *przyswajają* lekcye.

Ledwo inspektor wyszedł, Filatowicz krzyknął: Podgórski!

— Słucham, panie profesorze?

— Dlaczego nie odpowiadałeś, jak się należy, przecież umiałeś pan...

— I umiem, ale przestraszyłem się inspektora—odparł uczeń, z radością patrząc na zrozpaczonego Filatowicza.

— Poczekaj — myślał nauczyciel — przyjdzie egzamin.

Przeczuwał to Podgórski, przygotował się świetnie — niepodobna było zostać, niepodobna było przegrać, powtarzać kursu drugi rok.

Kiedy wezwany szedł do egzaminu, w jego oczach można było czytać:

— Nie boję się, umiem. Chcąc nie chcąc, musisz dostateczny postawić.

Wziął ze spokojem bilet, rozwinął go, położył na stole i chciał odpowiadać.

Lecz Artemiusz Filatowicz zaczął pytać o co innego, niż o to, co było w wyciągniętej przez chłopca kartce.

Pytał kursu z roku zeszłego, pozaprzeszłego.

Podgórski zmieszał się.

— Nie pamiętam tego—rzekł po chwili.

Z kolei Filatowicz spojrzał na niego z szyderczym, gorzkim uśmiechem.

— Jakże do piątej pan przechodzisz, a nie umiesz kursu klasy drugiej?

W oczach ucznia zakręciły się łzy.

— Jedynka—odrzekł z dziką radością Filatowicz.

Twarz Podgórskiego ściął rozpaczliwy kurcz.

Artemiusz Filatowicz, wybacz pan — zdławionym głosem wyrzekł chłopiec.

— Proszę siadać... tak... siadać — ironicznie odezwał się profesor, po raz pierwszy spoglądając ze znanym wykwitłym uśmiechem swym na zrozpaczonego ucznia.

Górą był nad nim — przecież! — myślał, gdy Podgórski, słaniając się, wyszedł z klasy.

— Następny—zawołał nauczyciel z zadowoleniem, egzaminując dalej...

Kiedy Artemiusz Filatowicz nazajutrz zjawił się w gimnazyum, uczniowie, zebrani przed gmachem szkoły i wyczekujący na egzamina, ujrzawszy profesora, z nienawiścią i przerażeniem rozstąpili się przed nim, patrząc na „żyrafę" szerokiemi, przerażonemi oczami.

Na schodach Filatowicz spotkał dyrektora.

Ten podniecony, zalękły, blady i zgnębiony rzekł jakimś strasznym szeptem:

— Wiesz pan, Podgórski zastrzelił się.

— Coo?—wykrztusił Filatowicz.

— Podgórski wczoraj wieczorem wystrzałem z rewolweru odebrał sobie życie. Znaleziono dzisiaj ciało chłopca—mówił dobitnie dyrektor, patrząc na Filatowicza wzrokiem goryczy.

Profesor zachwiał się, wsparł o ścianę, by nie upaść.

— Jak... to—zabił się?—wybełkotał.

— He, he, tak-s jak ludzie—odebrał sobie życie po egzaminie—rzucił z naciskiem dyrektor, mierząc groźnem, zrozpaczonem spojrzeniem nauczyciela.

— A... a... nie... t... tak — jąkał, drżąc Filatowicz i przesuwając ręką po czole.

— Ja... nie mogę egzaminować... głowa... mnie... wybełkotał i zawrócił, nie widząc nic, nie słysząc nic

Uczniowie, zobaczywszy go, rozstąpili się, jak przed upiorem.

Filatowicz wyszedł bez celu. Dźwięczało mu w uszach okropne, wstrząsające: Podgórski nie żyje.

. . . . . .

Koło świeżej mogiły, zarzuconej wiankami od przyjaciół, kolegów, nieszczęśliwego ojca, od maleńkiej siostrzyczki, od zrozpaczonej babki, klęczał — nie, właściwie siedział, zgarbiwszy się, Artemiusz Filatowicz i płakał, kryjąc twarz w dłoniach.

A płacz ten był cichy, bezdźwięczny, starczy, okrutny płacz, wstrząsający pierś głębokiem łkaniem.

Czego łkał ten biedny, przedwcześnie zestarzały człowiek?

Czy żal mu było zmarnowanych młodzieńczych lat zmarłego chłopca? Czy rozpacz targała nim na myśl o złamanem, zmiętem, nieszczęsnem życiu własnem, które w rezultacie tę oto mogiłę świeżą wykopało?

Może jedno i drugie było przyczyną łez?

O — z wielu, wielu powodów płacze ten człowiek, który ma lat pięćdziesiąt przeszło, którego głowę siwizna przypruszyła.

TRAGEDYA CHARKOWSKA.

W jednym z *departamentów* Charkowa rozegrał się straszny dramat. Relegowany uczeń klasy VII zabił swego dyrektora i ranił jednego z profesorów.

Uczeń ten był chory nerwowo. Dwa lata przed okropnym faktem morderstwa targał się na własne życie. Miał rodzinę, matkę, którą bardzo kochał, a która w postępach syna na drodze ucznia-urzędnika widziała całą karyerę chłopca. Z nauki dziecka była dumną, szczęśliwą i pokładała wiele nadziei na przyszłość. Uczeń-urzędnik licho się uczył, bardzo wolno idąc naprzód.

Jako uczeń klasy VII był drugoroczny, czekało go więc jedno albo drugie: zostać urzędnikiem klasy ósmej, lub opuścić szkołę i iść, gdzie oczy poniosą.

Takie to są prawidła departamentu vel gimnazyum.

Przyszła kolej, musisz się stać urzędnikiem klasy ósmej, źle ci idzie nauka, przejdź do departamentu innego, niech tam się męczą z twoją lichą głową. Jeśliś dwa lata, masz poprawkę, musisz ją *złożyć*, inaczej pozbawiamy cię posady.

Tak było i z owym uczniem.

Kiedy mu powiedziano, aby się wynosił, on

nawymyślał dyrektorowi, zarzucając, że go oszukano, że go zgubiono, że mu całe życie zwichnięto.

Pobiegł później do matki, która z przestrachem, niepokojem wyczekiwała powrotu jedynaka „ze szkoły".

Starał się ją uspokoić, odpowiadając na łzy i pytania „śmierć, czy życie?", że wszystko, wszystko idzie doskonale.

Udało mu się. Ale on sam, czy był spokojny, choć drugich pocieszał, uspakajał?

Na zewnątrz wzburzenie nie było widoczne. Może wyjątkowa bladość, którą matka przypisywała wzruszeniu z powodu egzaminu, pokryła twarz młodzieńczą, może, gdyby uważniej spojrzała mu w oczy, z krzykiem przerażenia nie puściłaby go z domu.

— Co ty chcesz zrobić?! co się stało?!

Ale matka nie widziała oczu syna, zalanych łzami.

Młodzieniec wyszedł z domu, panując nad sobą (inaczej nie sprzedanoby mu broni). Kupił rewolwer, zjawił się w gimnazyum i najspokojniej trupem położył dyrektora i zadał ranę jednemu z profesorów.

— Jakto—podobna rzecz mogła się stać w szkole?—zapytacie.

Ale gdzieżtam. Zdarzenie to zaszło w *departamencie*, tam, gdzie nikt się nie interesuje osobą młodzieńca, gdzie nikt nie wchodzi w jego sprawy, nikogo nie obchodzi jego życie prywatne, nieszczęścia, smutki, obawy, tam, gdzie panuje zupełna obojętność dla serca i duszy młodzieńczej, gdzie jest i króluje niepodzielnie chłodna „robota", zimny mus, a tonem kancelaryjnym mówią urzędnikowi:

— Nie masz tu instytucyi dobroczynnej, więc albo rób postępy, albo się wynoś!

Iluż jest dzisiaj w Rosyi starców, czy ludzi w średnim wieku z pożytkiem pracujących dla ojczyzny, którym ta tragedya charkowska nie jeden epizod z ich lat młodzieńczych przypomina?

Wybaczcie, że wam opowiem „historyę dziecka“, ale wszak o tem mówimy.

Rzecz się miała w czasie przechodzenia z klasy V do VI-ej.

Chorowałem całyrok, musiałem więc pozostać w tej samej klasie na rok drugi. Kwestya promocyi stała się dla mnie kwestyą życia i śmierci. I nie tylko dla mnie, ale i dla mej chorej matki, która wszystko robiła, poświęcała całą siebie, abym tylko mógł się uczyć. Jej dnie były policzone, mówił mi o tem doktór. Wiele cierpień kopało dla niej mogiłę, a przedewszystkiem choroba serca.

Jakikolwiek niepokój, silny smutek mógł odrazu przeciąć życie staruszki, wiszące na włosku.

Można też sobie wyobrazić, w jakiem usposobieniu szedłem na egzamin, w jakiem usposobieniu przyjmowałem od niej błogosławieństwo i te słowa.

— Nie bój się, będę się tutaj modliła za ciebie do Boga.

Piszą teraz wiele o tych, którzy wyruszają na pole walki, żegnając się z matkami, opuszczając rodzinę. Dużo jest naprawdę chłopców, przeżywających też same uczucia, a może gorsze jeszcze, gdy idą... na egzamin.

Ja, idąc właśnie, niosłem tam i swoje i matki życie.

Egzamin w dodatku był fatalny—piśmienne za-

danie z łaciny u profesora, który zmuszał nas kuć całe strony z Sallustyusza i żądał tłomaczenia bez zaglądania do słownika. Możnaby sądzić, że cała nasza przyszłość od tej łaciny zależała!

Tekst, podyktowany do tłomaczenia, przerażał trudnościami. Jeżyły się najtrudniejsze słowa, wyjątki, niezwykłe zwroty. Nawet prawdziwi Rzymianie tak nie mówili i nie pisali.

Ten tekst zagrażał setkami niebezpieczeństw. Każde niemal wyrażenie przez trudność swą skazać mogło na zaprzepaszczenie. Jedna minuta roztargnienia, za słabej uwagi—i wszystko przepadło.

Można sobie wyobrazić—czy mi podobna było skupić całą uwagę nad zadaniem, gdy przed memi oczyma cały czas stała matka, kiedy snuła się przedemną jej postać rozmodlona, klęcząca przed obrazem w sypialni, przepojonej wonią lekarstw.

— Cezar zebrał dwa nowe legiony.

Wiem, dlaczego jest tutaj słowo „zebrał“ w dalszym ciągu trzeba użyć specyalnego wyrażenia łacińskiego, które zaraz napiszę.

— *Caesar duas novaz legiones...*

Najpotrzebniejsze słowo wyleciało mi z głowy.

Collexit? Nie, nie „*collexit*,“ *conjunxit?* Nie, *conjunxit*, więc jak, jak?

Czułem w koło siebie to słowo, a nie mogłem go pochwycić. Do głowy tłoczyło mi się wszystko, tylko nie to słowo.

— Jakież, jakież jest to *specyalne* — jakież? Znałem je, znałem...

Myślę usilnie, coraz usilniej, odczuwałem jednocześnie okropne znużenie; opanowała mnie nie-

moc. Przedemną stał *Caesar i duas legiones...* tylko.

Nagle zakotłowało mi się wszystko w oczach.

Raptem wstałem z ławki i podałem profesorowi zupełnie czysty kajet.

Spostrzegł — widziałem to--że nienapisane.

Kajet obojętnie położył na innych, które mu oddano z tłomaczeniem odrobionem.

Wybiegłem z klasy, zataczając się jak pijany. Nogi mi drżały, głowa pałała. Ujrzałem po drodze do domu, jak się dwóch mocowało. Owładnęło mną wspomnienie wojny Cezara z Gallami. Przed oczy rzuciła się kartka biała z zaczętym wierszem:

— *Caesar duas novas legiones conscripsit.*

Oto jest, jest to *specyalae* słowo—*conscripsit!*

Do gimnazyum wracać nie było można. Chwyciło mnie przerażenie.

— Cóż ja uczyniłem? — szeptałem z rozpaczą.

W pokoju zastałem matkę z twarzą bladą, cierpiącą. Wyczytałem z oblicza:

— Prawda—śmiercią dlań będzie.

Ze ścisniętem sercem powiedziałem:

— Wszystko dobrze.

— Spodziewałam się, spodziewałam tego, bo modliłam się tak gorąco...

Pod pozorem przejścia do kolegi wyszedłem z domu. Powróciłem do gimnazyum, aby się dowiedzieć u szwajcara, gdzie mieszka profesor łaciny.

Błąkałem się później do wieczora po ulicach, wahając się, co robić, wreszcie stanąwszy przed drzwiami mieszkania nauczyciela, zadzwoniłem.

Drzwi otworzyła mi staruszka, matka profesora, który był bezdzietnym wdowcem.

— Czem mogę służyć?

Dowiedziawszy się, o co mi chodzi, wpuściła mnie.

Uderzony byłem ciepłem domowem, zaciszno-ścią. Pokój gościnny, w którym się na wstępie znalazłem, robił bardzo przyjemne wrażenie.

Profesor wyszedł w szarym kitlu. Zupełnie zmieniony, ledwo przypominał tego człowieka o mundurowej postawie, był inny niż ten, którego znałem.

Przywitał mnie w progach swego gabinetu z uśmiechem nader uprzejmym i podał rękę.

— Proszę, bądź pan łaskaw, siadaj pan.

Zapalił papierosa i przysuwając pudełko, częstował.

— Dziękuję—odparłem ze zdziwieniem.

Roześmiał się serdecznie, ciepło, ujmująco.

Nigdy go sobie takim nie wyobrażałem.

— Ależ tu nie gimnazyum, pal pan, jeśli palisz.

Rzeczywiście, profesor, jego obejście nic wspólnego nie miało z gimnazyum, lecz, kiedy mu przypomniałem o egzaminie, kiedy napomknąłem, w jakiej sprawie przychodzę, zmienił się odrazu.

Wyraz twarzy stał się surowy, oficyalny, znany mi tyle lat.

— No tak—rzekł—pan nic nie napisałeś. To mnie zdziwiło. Widziałem pusty kajet pański, ale cóż—trudno mi rozkazywać—pisz... Pan jesteś drugi rok...

— *Ceazar... conscripsit.*

Zacząłem mu opowiadać, co czułem, rozpoczynając zadanie.

— Ależ to sensu niema. Można było innego użyć słowa! Nic nie napisać nie uchodzi, nie!

— Moja matka...

Zacząłem mu opowiadać o chorobie matki. Mówiłem, plącząc się.

Profesor powstał z fotelu i chodził dużym krokiem po gabinecie.

— Cóż nas to obchodzi?—zawołał. Matki, babki, ciotki... cóż ma do tego gimnazyum!—Głos dzwięczał ironicznie.

Musiałem jednak strasznie przygnębiająco wyglądać, albo też nie chciał on dawać u siebie ostatecznego na mnie wyroku.

Wydostał kajet, poprawił jedność na dwójkę i wyrzekł:

— Poproszę, abyś pan uzyskał poprawkę, nie mogę więcej nic.

Powtórny egzamin trzeba było zdawać przed drugim nauczycielem, przed znakomitością pedagogiczną, autorem wielu podręczników dla szkół. Jeśli się nie umiało jego gramatyki, uważał on to za uchybienie uczynione powadze, za jaką uchodził.

Poprawki zdawano przed wakacyami.

Zmroziło mnie, kiedy przystąpiłem do egzaminu czując naigrawający się wzrok Niemca — latynisty.

— Ach, to pan—rzekł—który nie mogłeś napisać ani jednego słowa! Zobaczymy, czy nam co odpowiesz.

Zaczął mi zadawać ogromnie trudne pytania, uśmiechał się przy tem sarkastycznie, ilekroć zająknąłem się.

— Czyż pan tak odpowiadać zamierza, jak pisałeś?

Ogarniała mnie rozpacz.

Co mówiłem, jak mówiłem, co myślałem... zda-

je się o nożyku swoim, o kałamarzach, o koniugacyach, o Cezarze... no i... zdawałem, z przekonaniem że się zetnę, stanowczo zetnę.

A czasem chwytała mnie myśl poderznąć sobie gardło w oczach tego sarkasty—łacinnika.

W tej chwili on pochylił się, umaczał pióro i—postawił trójkę.

Przeszedłem więc!

Ponieważ egzaminowałem się ostatni, spotkałem się przeto z Niemcem-latynistą, który zaraz pomnie wyszedł z kancelaryi. Przed bramą czekała na niego młoda żona z dwojgiem dzieci—młodszy jurny chłopczyk czteroletni, w czapce z pomponem, ujrzawszy mnie, pochwycił za szynel z dziecięcym wesołym śmiechem.

Wziąłem go delikatnie za rączki i odsunąłem. Profesorowstwo dobrotliwie skinęli mi głową.

Skłoniłem się uprzejmie i poszedłem do domu.

Dlaczego ci ludzie „na służbie" bywają takimi zimnymi urzędnikami, ci ludzie, którzy w prywatnem swem życiu są tak inni, dlaczego wszelkie swe uczucia pozostawiają za murami szkoły, wchodząc w nie z duszą, opiętą szczelnie w wice-mundur?

Żal mi tych wszystkich trzech ofiar opowiedzianej przed tem tragedyi, która krwią obryzgała szkołę.

Żal mi i biednego dyrektora, zostawiającego po sobie rodzinę, i nauczyciela ranionego, przeżywającego okropność wypadku, i młodzieńca. którego całe życie jest złamane, zwichnięte zupełnie.

Wprowadzają do gimnazyum coraz więcej ułatwień, znoszą egzaminy, języki starożytne — ale

przedewszystkiem trzeba pomyśleć o wyrugowaniu tego „*byt' po siemu*“, sztywności wice-mundurów, chłodu i sztywności, czyni to bowiem nasze szkoły jakąś fatalną, bezduszną maszyną, a uczniów robi „urzędnikami“.

MALI URZĘDNICY.

Chwytam za pióro, aby bronić współczesnej szkoły średniej. Nie ruszajcie tych kręgów gimnazyalnego piekła!

— Karol przestał być moim znajomym. Karol niegodziwiec, nie wiedział on drugiego przypadku od rzeczownika *domus*.

Tak rozmawiali dwaj mali uczniowie, kiedy Heine wyjeżdżał z Düsseldorfu.

Heine u nas tegoby nie usłyszał.

— Skworcow — kowal. On nawet wie, jak się odmienia słowo *domus*.

Kowali walą, prawdziwi zaś bohaterowie siedzą na ławkach ostatnich.

Przez całe uczniowskie pokolenia wyrobiła się tradycya, że faktyczni niegodziwcy, to — ci, którzy zawsze umieją lekcyę.

Postępują z nimi tak, jakby postępowali w departamencie z urzędnikiem, który zgadywałby żądania swej władzy, brał robotę do siebie, nie jadł, nie pił, aby tylko wypełnić rozkazy naczelników.

— Wysługuje się kanalia!

Pierwszy uczeń to zdrajca klasy, to najgorszy. Po to uczy się, kuje wyjątki, aby obniżać swych kolegów.

— Pan nie nauczyłeś się lekcyi, a czemuż Skworcow nauczyć się zdołał? .

Pierwszy uczeń — pierwszy jest nie tylko co do stopni, ale i kuksów, jakich mu bynajmiej inni ie szczędzą.

Natomiast ten, co spisuje *extemporalia*, lekcye przegląda podczas pauzy, zaś lekcye wydaje z podpowiadanką, książek nie odnosi do domu, lecz pozostawia je w klasie — jest dla wszystkich przedmiotem podziwu, uwielbienia, nawet zazdrości.

My nie mamy szkoły średniej, lecz departament-kancelaryę, w której mali urzędnicy odbywają cięż, ką, męczącą służbę. Nikt nie chodzi uczyć się, lecz odbywać okropną mękę, bo... bo to jest konieczne.

Po ośmiu latach zostaniesz studentem, tak samo jak ojciec, przesłużywszy lat dziesięć, jako asesor, dojdzie do rangi wyższej...

Cichy, mglisty ranek stolicy...

Przes ulicę kroczy mały gimnazista. Tornister na plecach, a głowa pełna różnorodnych myśli.

— Z geografii odpowiadać dziś nie będę, bo zeszłym razem odpowiadałem. Arytmetyki nauczę się w czasie dużej pauzy... Łacina — od czegoż Semion, dam mu parę kułaków, a pozwoli „ściągnąć" *extemporalia*. Niemiecki głupstwo—zresztą Szuster—niemiec podpowie. Ot i wszystko!

O tejże godzinie ojciec tegoż malca, ubierając się w stare wytarte palto, myśli:

— Z raportem dziś chodzić nie potrzeba — raporty bowiem przyjmują we czwartki. Czyli niektóre papiery można będzie odłożyć na bok. Rezolucję z NN. wypadnie przygotować. No, można to polecić Janowi 32. Ale, ale – lepiej samemu tem się

zająć. Sprawę Man. poślę kiedyindziej. Zdaje się wszystko.

Czyż wielka różnica między ojcem a synem, między biurem a gimnazyum, między miarą zajęcia syna a ojca?

Bo i jakimże ma być stosunek, jakaż miara inna?

— Dlaczego trzeba wiedzieć, że słowo *kerannimi* było w użyciu przez Greków na 1000 lat przed Chrystusem, aby przezeń określić wymieszkę wina z wodą. Kiedy starożytni Grecy mieszali piasek z mąką, używali słowa innego. Greków nie ma, wymieszek także — pocóż więc uczą tego? Na to nikt nie odpowie ciekawemu chłopcu.

Matka...

Biorę przykład z rodziny, w której zawsze mówią dzieciom prawdę. Są inne, w których rozmowa toczy się pedagogicznie, czyli jest kłamliwa. Tym sposobem w podobnych rodzinach dusza dziecka zaraża się trucizną dla celów pedagogicznych. W podobnej rodzinie, jeśli chłopiec pyta ojca w czasie wieczerzy:

— Dlaczego Grecy używali słowa *kerannimi* gdy robili *kruszon*, czyli mieszali wino z wodą?

Ojciec zrobi poważną minę i odpowie:

— Ależ to bardzo ważne, jakżeż, cóżeś ty, także pytanie! Hm. używali... wogóle mógłbyś iść już do pokoju dziecinnego! Marudzisz, a tu dziewiąta.

Chłopiec, o ile jest dostatecznie rozwinięty, myśli:

A to dopiero! Mówią że ważne, a jednak ojciec nie wie.

Po wyjściu chłopca matka zwraca się do ojca:

— Po co go wypędziłeś? Dlaczegoś nie wytłomaczył?

— Ależ Bóg wie, na co to trzeba wiedzieć, poco uczą takiego słowa! *De facto* nie wiem! Możnaż to mówić dzieciom? Rodzina powinna podtrzymywać autorytet szkoły, zgadzać się z nią, a nie występować przeciw niej!

W rodzinach, gdzie się mówi prawdę, jest inaczej.

Matka, bardzo dobra, choć nieco naiwna, mówi, patrząc na zmęczonego syna:

— Łacina—że się jej uczą, to jeszcze rozumiem! Piszą przecież po łacinie recepty, ale wkuwać język grecki, wymagać nadmiernie z innych przedmiotów, jakiż cel?

Miewa ona czasami okropne sny.

Wydaje się jej, że żyje na tysiąc lat przed Chrystusem i idzie przez rzymskie *forum*, a wkoło niej tańczą nie prawidłowe słowa i plotkują o ostatnich wyjątkach z trzeciej odmiany.

— Słyszeliście, *panis* rodzaju męzkiego!

— Ale jakżeż rodzaj męzki z końcówką żeńską? Gadaj głupstwa!

— Zniewieściałość, moralne zepsucie!

— *Piscis* także męzkiego rodzaju, nawet *cucumis!*

— Tak! Wiele jest imion na *is masculini generis*! Trudno! W tejże chwili zaczynają gardłować wykrzykniki, bo na *forum* wjeżdża Cajus, Juljus, Caesar rodzaju męzkiego trzeciej odmiany.

Nieszczęśliwa matka rzuca się przed nim na kolana.

— Zlituj się! Memu synowi, Janowi Grzegorzewiczowi, może go znasz, on tłomaczy teraz twe ko-

mentarze, postawili jedynkę zato, że nie wiedział *supinum* od słowa *do*.

Juljus Caesar macha ręką.

— Ja sam zginąłem przez *gerundja* i *supiny*! Na bok!

Tu w jej oczach wóz tryumfalny przejeżdża jej syna.

Biedna matka budzi się z krzykiem; przy śniadaniu opowiada straszny swój sen, wnioskując zeń, że Grześ napewno dostanie jedynkę z łaciny i chłopiec zostanie się na rok drugi. Ach, któż to wymyślił tę łacinę!

Albo ojciec...

Sam on wistocie nie wie, dla czego całe życie pamięta takie zdania: „*Darej ju kai Pariustatidos gignontaj pajdes dio, presbiteros men Artakserkses, neoteros de kiuros*".

Wiele, wiele ciekawszych rzeczy zapomniał w życiu ale *Darej ju*... pamięta i pamiętać będzie do grobowej deski.

Nie darmo się męczył!

Kiedyś tam nabił sobie tem zdaniem głowę i wiecznie je pamiętać będzie. Darjusz i Parisatida—mieszkańcy, którzy nic nie płacą, a ciągle hałasują po nocach.

Przypominali mu się raz jeden w ciągu całego życia. Było to w nocy, kiedy usnął zmęczony, znużony.

Śnią mu się Darjusz i Parisatida, którzy przy nim porodzili dziecko i ni ztąd ni zowąd rzekli, że zrobili to „po grecku", w formie wyjątku. Przestraszony obudził się. Długo potem, nie mogąc zasnąć, rozchorował się w końcu na głowę.

Czy miał jakikolwiek pożytek z tego, co wykuł o tych Persach? Cóż powie synowi, gdy on z kolei zacznie uczyć się tego samego? Nic innego, tylko: władza każe i basta.

Trudno się będzie temu dziwić, gdy ojciec taką da odpowiedź, nie chcąc kłamać przed rodzonem dzieckiem, nie chcąc, stosownie do pedagogicznych wymagań, kłamliwie postępować.

Dla czego właściwie pamiętamy, że dużo jest imion na *is musculini generis*, po co?

Oto przykład, kiedy się to nam przydało.

W małem mieście o ludności barbarzyńskiej czwartego grudnia były czyjeś imieniny. Jeden z barbarzyńców zaprosił nas do siebie. Chcieliśmy zatańczyć. Napróżno jednak szukano grajka, chociażby najgorszego! Wszyscy byli już wynajęci. Postanowiliśmy zaimprowizować muzykę przez śpiew, a gdy się okazało, że na zebraniu było dość klasyków, którzy najlepiej ze wszystkiego pamiętają odmianę wyjątków trzeciej deklamacyi, tedy, nie namyślając się długo, zaczęliśmy kontredansa w takt słów:

„*Annis*, *orbis*, *glis*, *annalis*,
Tuscis, *eusis*, *cucumis*".

Taki to pożytek przyniosły nam te wyjątk. Ale czyż na to potrzeba aż ośm lat uczyć się gramatyki?

Nie może, rzecz oczywista, rodzina ludzi z logiką podtrzymywać autorytetu szkoły. Chłopiec wie dobrze, że kłamią, gdy mówią:—To bardzo, bardzo ważne w życiu wiedzieć *supinum* „*do*".

Rankami i wieczorami mówią dziecku: — Cóż robić, cierp!

W dodatku chłopiec, nieraz idąc do szkoły,

czy wracając z niej, czy też kiedy się uczy, myśli często:

Ojciec pracuje cztery godziny dziennie w swej kancelaryi i wyrzeka, ja mały siedzę pięć godzin, a oprócz tego muszę jeszcze kuć w domu. Dopierożby ojciec wyrzekał, gdyby mu tak kazano brać robotę.

Chłopiec instynktownie każe sobie płacić za zajęcia, skoro prosi matkę o dwadzieścia kopiejek, gdy pokazuje stopnie za tydzień ubiegły, stopnie dobre, a na święta przynosi cenzury dostateczne.

Pamiętam 25 lat temu, kiedy wice-minister wizytował gimnazyum, pytał mnie, gładząc po głowie.

— Jakiż najlepiej lubisz język?

— Grecki — odparłem, kłamiąc i Bóg jeden wie, jaką korzyść tem kłamstwem zrobiłem ojczyźnie.

Wszak „towarzysze" ministrów jeżdżą poto, aby osobiście przekonywać się o rezultatach nauki w szkołach.

Być bardzo może nieraz wszyscy decydowali się na usunięcie języków klasycznych, ale gdy usłyszeli opowiadanie wice-ministra:

— Ależ, panowie, sam znałem jednego z gimnazistów, niejakiego Doroszewicza, który mi powiedział, że bardzo lubi język grecki, zatem uczyć się starożytnych języków, to dla nich prawdziwa rozkosz!

Minęło od tej chwili, gdym skłamał, lat 25. Jeżeli gdziebądź znajduje się wzmianka w archiwach, że lubię grecki, to niechaj to co prędzej wykreślone będzie, bo—skłamałem.

Niepodobna lubić łaciny, greckiego tak samo

jak geografii, którą w szkołach średnich wykładają.

Przyjrzyjcie się temu biedakowi, który, kiwając się w tył i naprzód, powtarza po 11 do 20 razy:

— *Na płaskowzgórzu Berberyjskiem rośnie mnóstwo różnych chwastów!*

— Czyż można lubić naukę, w której znajdują się całe masy chwastów?

Zapytajcie matek, a powiedzą wam, jak to ich synowie w gorączkowym śnie bredzą:

— Matko, matko! z miasta *A* wyszedł pociąg, robiąc po siedem wiorst na godzinę. Zapytanie:—po ile kupiec sprzedaje korzec owsa?

Historya ludzkości zaczyna się od baśni i podań; historya Iłowajskiego rozpoczyna się liczbami, w całym swym ciągu na liczbach oparta i kończy się liczbami. Ma wygląd arytmetyki, przeplecionej kalendarzowymi adresami różnych osobistości. Nazwiska i liczby.

Nauka z tego podręcznika takież może wzbudzić zamiłowanie i chęć, jak, dajmy na to, kucie na pamięć abonamentów telefonu.

— Rok *91* Juliusz Cezar.

Rok *1113* Włodzimierz.

Wszystko, co może pobudzić umysł, co może zainteresować, pociągnąć, wykreśla się najsumienniej.

Chce wam się jeść, dają wam kość z cielęciny i mówią, że to właśnie cielęcina! Nigdy już cielęciny nie zażądacie, owszem przeciwnie, będziecie odsuwali to mięso ze wstrętem.

Toż samo jest z nauką z podręcznika Iłowajskiego

Nie jest-że ironią podobna nauka? Nie wyobraża-ż ona czegoś bardzo dalekiego od prawdziwej nauki?

Jedyny „przedmiot", który się uznaje za „obowiązkowy„ to—język rosyjski.

I tu jednak cała ochota niknie, kiedy się zaczyna najciekawsza część tego przedmiotu: *literatura*.

Nauczyć się każą na pamięć z kilka bohaterskich ód, a potem mówią:—Dalej był Puszkin.

Postawią natychmiast jedność, jeśli uczeń nie potrafi uczynić rozbioru „Słowa o pułku Igora". Ależ o tem samem właśnie E. W. Barsow napisał sześćdziesiąt kilka tomów i zdaje się. zdania, pierwszego jeszcze dotąd nie wyjaśnił.

Lermontow, Turgeniew i t. d. — to nazwiska, które wbija się w pamięć bez najmniejszego zainteresowania ucznia, wkuwa w głowę i tyle. Tak. Bo szkoła średnia w Rosyi nie uczy, lecz „wprawia" do zajmowania się robotą, której nie lubimy, i to do zajmowania się w sposób urzędowy, a nie inny — słowem pod *przymusem*.

Doktór, adwokat, nie mówmy o urzędnikach, czyż wszyscy są zadowoleni ze swej profesyi? Znajdzie się niezawodnie taki, który bez zamiłowania pracuje—ot jak niejeden, jak liczna rzesza uczniów naszych.

— Jakież to okropne urodzić się u nas z rozumem i talentem!

Tylko jeden Szczedryn mawiał do syna:

— Nie ma piękniejszego i szlachetniejszego zawodu, jak zawód literata w Rosyi — ale on tylko tak mówił, on jeden.

Szkoła średnia swoim systemem udowadnia

wskazuje to, co przez całe życie nas czeka — zajmować się tem, czego się nie cierpi.

Przez to spełnia... hm... spełnia zadanie, które dla Petersburga ma wielką wagę, bo od dzieciństwa przygotowuje ludzi na urzędników.

LEKARZ GIMNAZYALNY.

Narada pedagogiczna...

Taka narada, która rozsądza kwestyę przy drzwiach zamkniętych, w największej tajemnicy, podobna jest do wenezuelskiej rady trzech. Rozstrzyga ona sprawę Jana Pawłowskiego.

Pawłowski podobno zwymyślał od psów nauczyciela języka niemieckiego.

Teraz odbywa się sąd, który w swych rezolucyach ma takie straszne słowa:

— Odebrać z gimnazyum...

— Wypędzić...

To sąd, od którego zależy wydanie jak najgorszej albo jak najlepszej opinii.

Ma ona potem ogromne znaczenie przy wstąpieniu do uniwersytetu, oraz przy rozstrzyganiu popostępków ucznia jako studenta, przy rozstrzyganiu słowem, kwestyi całego życia dalszego.

To granatowe zebranie odbywa się przed czasem reform, które niebawem mają być wprowadzone.

W radzie tej zasiada także doktór gimnazyalny.

Dotychczas nie zasiadał, rzecz dziwna! Jak mogli obejść się bez niego, sądząc i osądzając dzieci!

Przypomnijcie sobie smutny okres pobytu w gimnazyum. Ileż to sądowych błędów rady pedagogicznej w waszej pamięci powstanie z martwych.

będzie gorszym niż dotąd w swem postępowaniu, ponieważ hory jest nerwowo. Zamiast kary, niech parę godzin wypocznie i dostanie *Kali bromati*, a nie jedynkę! Doktór gimnazyalny może tak wyjaśnić psychiczny stan dzieci, ale on tego nie robi nigdy, bo czemże on jest?

Latawcem od szkoły do szkoły, od instytutu do szpitala. Biega wciąż, aby zapracować ze dwieście rubli na miesiąc.

Czy znacie tę figurę?

Figurę z nieodstępnym jodem i lapisem, spieszącego się nieustannie doktora—pamiętacie?

Przychodzi raz albo dwa razy na tydzień, przez półgodziny przyjmuje chorych!

— Gruczoły przypuchły — otwórz usta, powiedz — *aaa!* Gardło zalapisuje — na tem kończy się wizyta, na którą to pomocnik gospodarza klasowego, obchodząc klasę po klasie, zwołuje dzieci.

— Kto do doktora, proszę!

Chłopiec sam sobie musi postawić diagnozę, wiedzieć, co mu jest, czy zdrów, czy chory?

Do doktora przychodzą najczęściej tacy, którzy natarłszy sobie głowę, udają chorych, aby uwolnić się od trudnej lekcyi.

Ale są i inni. Ten ma nadzieję poprawić się z historyi, więc choć się czuje chorym, do doktora nie idzie; tamten spodziewa się odpisać dyktando, otrzymać dobry stopień. Drugi unika konsultacyi, ponieważ się umówił z kolegą iść po lekcyach na bójkę z powracającymi realistami, albo przyglądać się ślizgawce.

Częściej pokazuje się doktór w gimnazyum,

Sam przypominam sobie... Miałem przyjaciela bardzo chorowitego, cierpiał na rany nigdy się niezabliźniające, które pokrywały jego nogi. Zawsze z przerażeniem oczekiwał wieczoru, wtedy bowiem obmywali mu nogi, zdejmując przysychające bandaże. Ból był ogromny i nic dziwnego, że chłopiec nie mógł okazywać spokoju.

To też uważano go za niegodziwca, za nieposłusznego brutala.

Karali go też ciągle, zostawiając w klasie po lekcyach.

Zatrzymywali go z powodu nieprzyzwoitego zachowania się względem pomocnika klasowego gospodarza, za niechęć stania w kącie, za nieposłuszeństwo.

Chłopiec wogóle liczył się do wiecznie płaczliwych i niepoprawnych. Ze sprawowania zawsze miał trójkę wisząc w gimnazjum na włosku.

Raz, jeden z kolegów uderzył go za coś w chorą nogę. Biedak, wściekając się z bólu, rzucił się na przeciwnika, pobił go, podrapał, pokąsał.

Rada pedagogiczna nie wchodząc w przyczyny, kazała odebrać syna ze szkoły, dodając, że czyni to tylko ze względów na matkę, bo powinni byli krnąbrnego chłopca bez żadnych omówień wypędzić.

Gdzież on jest teraz? Czy skończył szkoły, czy też wypędzony zewsząd najniewinniej, bo przez chorobę swą, nie otrzymał najmniejszego wykształcenia?

Doktór na tych naradach jest potrzebny, jest konieczny jako ekspert, jako obrońca małego podsądnego.

— Upór, może powiedzieć doktór, tem i tem się objaśnia. Chłopiec bez wytchnienia karany,

kiedy zaczyna grasować epidemia szkarlatyny, odry i t. p.

Wtedy to gimnazistów ustawiają rzędami, jak żołnierzy, i doktór ogląda setki chłopców, aby tylko obejrzeć.

I cóż podobne indywiduum może powiedzieć o którymkolwiek chłopcu? Co on ma za znaczenie w radzie pedagogicznej?

Oto rozstrzyga się sprawa Pawła Iwanowskiego, który nie chce słuchać władzy. Cóż na to powie doktór-latawiec?

— Paweł Iwanowski!, Paweł Iwanows... Aha, tak, oglądałem go kiedyś, nawet lapisowałem mu gardło... a — a może Janowi lub Piotrowi?

— Doktorze, jakież pańskie zdanie co do Pawła Iwanowskiego?

— Hm... Chłopiec z gruczołkami — hm, lapisowałem...

Więcej nie powie nic. Dzieci o tyle go interesują, o ile są rozsadnikami zarazy.

Cała jego uwaga skupia się na tem, czy dziecko nie ma szkarlatyny albo ospy.

To też udział takiego doktora w radzie pedagogicznej równa się zeru. Człowieka chorego dorosłego nie karzą, a dziecko ileż razy ukarzą przez to właśnie, że doktór-latawiec nie zna swoich pacyentów, a jeśli zna, to powierzchownie.

To też obrońcą dobrym, jedynym może być tylko stały doktór, nie taki, który w kilku szkołach miewa konsultacye, ale w jednej. Dla takiego doktora Paweł Iwanowski nie byłby jakimś nieznanym subiektem, ale rósłby pod okiem eskulapa, który

wiedziałby doskanale, co temu a temu dolegać może, znałby organizm każdego ucznia.

Taki tylko doktór może być potrzebą, koniecznością szkół. Taki tylko, a nie latawiec, źle płatny wyrobnik.

Zapewne, że trudno wśród młodych o dobrego doktora, że stały będzie więcej kosztował, lecz ileżby przez to „rada granatowych“ uniknęła błędów!

Trudno jednak.—Tylko idąc ręka w rękę z medycyną, szkoła średnia tak może czuwać nad zdrowiem młodzieży, jak powinna, jak tego od niej każdy uczciwy człowiek wymagać musi.

JĘZYK ROSYJSKI.

W porze wiosennej będąc w Paryżu, zaszedłem do znajomych.

Na wstępie zaraz spotkał mnie chłopaczek, synek przyjaciół, ogromnie ożywiony i uradowany.

— Wie pan—zawołał—idę z ojcem do „salonu!“

— Tak?

— Ojciec mnie bierze w nagrodę!

— A cóżeś ty takiego zrobił, że aż cię będą nagradzali?

— A — przyniósł dobry stopień za pierwsze wypracowanie—pochwaliła się matka. — Trzeba zawsze udawać, że się ogromnie interesujemy postępami dzieci—rzekła do mnie.

— Ho! ho! Pokażże to wypracowanie, *mon cher!*

Kazali dzieciom zwiedzić ogród zoologiczny „*Jardin d'acclimatisation*“ i napisać ćwiczenie o tym parku w formie listu do przyjaciela, mieszkającego na prowincyi.

Mój mały znajomy — chłopiec bystry, dowcipny i rozwinięty nad wiek—wywiązał się z tematu nadzwyczaj udatnie.

Chłopiec nawet pozwolił sobie na dowcip, kończąc małe swe zadanie temi słowy:

„Zresztą, gdybym miał ci o wszystkiem donieść

musiałbym całą książkę o tem napisać. Być może, że kiedyś to zrobię, biorąc jednak pod uwagę moje lenistwo, przypuszczam, że do tego czasu sam będziesz w Paryżu i wszystkie cuda „*Jardin d'acclimatisation*" zobaczysz".

Zadanie napisane było poprawnym francuzkim językiem i podznaczone stopniem „bardzo dobrze".

— A jakże się koniec podobał? zapytałem.

— Ach, panie — rzekł chłopiec, nauczyciel śmiał się, koledzy moi także!

Przypomniałem sobie, jak pewnego razu licho mnie nadało podowcipkować w ćwiczeniu, kiedy byłem w gimnazyum.

— „Cierpliwością i pracą dobijesz się celu"— dano nam jako temat do wypracowania. Wśród rozmyślań, nasunęła mi się jedna myśl i tę napisałem, a mianowicie: „Naturalnie, pracą i cierpliwością dobijesz celu, naprzykład utraty zdrowia". Przyszła chwila zwrotu kajetów.

— Kajety niesie, kajety!—wołano z zaciekawieniem.

Czekaliśmy tego momentu z niecierpliwością.

Całą prawie godzinę profesor wyśmiewał uczniów słabszych. Czytał on głośno ćwiczenia, żartował, a my umieraliśmy ze śmiechu, kpiąc z autorów. Szczególniej ci się śmieli wraz z nauczycielem, co blizko niego siedzieli.

Wyjątkowo jednak tym razem, kiedy za temat posłużyło wyżej wspomniane motto, profesor przyszedł z fizyonomją bardzo pochmurną.

Zanotowawszy lekcye w dzienniku, po pauzie wziął kajet, leżący na wierzchu całej paczki innych i zawołał:

— Doroszewicz!

Doroszewicz wstał pełen smutku.

— Doroszewicz, pozwoliłeś sobie na żart, który jest nie na miejscu i nieprzyzwoity...

Niemczyk, blondynek, siedzący obok mnie, czemprędzej odsunął się.

Zawsze to robił, ilekroć karano sąsiada kozą albo jedynką.

Koledzy patrzyli na mnie to z ironią, to ze strachem.

— Napisałeś żart.

— Panie profesorze — zacząłem...

— Milczeć!—ryknął naczyciel. — O tym żarcie, jako gospodarz klasy, nie omieszkam donieść radzie pedagogicznej. Teraz zaś proszę iść do pana inspektora, który wie o żarcie. Idź pan! Bez żadnych rozmów.

— Natychmiast!

Inspektor, którego nazywaliśmy „bębnem tureckim", obrzucił mnie zwrokiem wroga od stóp do głów.

— Czego? Dlaczegoś nie w klasie?

— Jestem uczniem tej a tej klasy, tego a tego oddziału, Doroszewicz! wypowiedziałem rekomendacyę jednym tchem.

— Aha! A gdzież to guzik? Dlaczego mundur nie zapięty! Gdzie halstuk? halstuk—wrzeszczał, siniejąc od krzyku.

— Halstuk się zniszczył...

— Ja ci odpowiem! Guzik nie zapięty, halstuka niema, a jeszcze jakieś kpiny mi tu wypisujesz

w zadaniaah! Marsz do dyrektora, pan dyrektor wie o tem! Będą wezwani rodzice — marsz!

Poszedłem na palcach do tak zwanej sali aktowej, gdzie właśnie dyrektor przebywał. Idąc, zapiąłem guzik, poprawiłem zniszczony halstuk.

— Proszę powiedzieć—rzekłem do woźnego—że przyszedł Doroszewicz.

Dla woźnych byliśmy zawsze grzeczni w czasie jakiejś awantury, zatargu z władzą i t. d., zwykle wymyślaliśmy im od osłów i głupców.

W sali popisowej, przy dużym zielonem suknem okrytym stole siedział dyrektor, człowiek nizki, suchy, w wiecznym surducie i okularach.

Dyrektor spojrzał na mnie przez okulary groźnie i po dwuminutowem milczeniu krzyknął:

— Cóż to masz za włosy?!

Przesunąłem ręką po głowie.

— Co za włosy, jakie włosy!

Zupełnie zbity z tropu odparłem:

— Blond...

— B...b..loond! — wrzasnął, porwawszy się z krzesła.—W rozmowie z władzą śmiesz kpinkować, niestosowne żarty wypisywać w ćwiczeniach, chodzić z długiemi włosami! Milczeć! Po lekcyach na sześć godzin w kozie! Proszę iść!

Odrazu można było wywnioskować, że się jest wśród klasyków; tak mnie gromili, jak Katylinę.

Siedziałem po lekcyach sześć godzin w kozie, zły, smutny; ale i tego nie dość — otrzymałem *zero* z zadania —*zer* nie stawiano wogóle, tym razem jednak postanowiono „dla przykładu" taką dać mi notę—zmniejszono mi dalej stopień ze sprawowania, wreszcie wezwano rodziców, którym powiedziano:

— Na drugi raz będziemy zmuszeni wydalić syna z gimnazyum. Podobni wychowańcy są niemożliwi.

A wszystko przez żart niewinny, wszystko zato, że napisałem, com pomyślał.

Zainteresowały mnie ćwiczenia, pisywane w szkole francuskiej; zwróciłem się więc do mego małego przyjaciela, prosząc:

— Czy nie mógłbym dostać kilku ćwiczeń twoich kolegów?

— Niech pan przyjdzie do nas w niedzielę na śniadanie. Będzie u mnie paru kolegów. Powiem im, aby przynieśli swoje kajety.

Tak się też stało.

Kiedy przejrzałem pisane ćwiczenia na tenże temat ogrodu, zdziwiłem się i uradowałem jednocześnie.

Ileż tam fantazyi i wiedzy!

Jeden z tych małych pisarzy traktował ćwiczenie naukowo. Opisywał nietylko wygląd zewnętrzny stworzeń widzianych, ale dodawał i charakterystyki o życiu, przymiotach, nawykach każdego. Mówił naprzykład, że lwy, tygrysy, pantery należą do jednej rodziny—i t. d. Drugi był fantastą. Każde zwierzę przypominało mu jakąś stronnicę z przeczytanej książki podróżniczej. Opisywał polowania na te zwierzęta. Robił to z taką satysfakcyą, z takiem zacięciem, jakby sam polował lub był przynajmniej widzem.

„Zabijać bizona, strzelając w łeb — rzecz niemożliwa—pisał z entuzyazmem.—Kula się spłaszczy o twardy łeb. Trzeba zaczekać na moment, kiedy po-

draźnione zwierzę rzucać się zacznie na człowieka i łeb wyciągnie—wtedy wal w szyję."

Każdy pisał tak, jak mu się podobało, to, co myślał. A nauczyciel stawiał noty bardzo dobre i temu, który traktował przedmiot bardziej fantastycznie i temu, co pisał bardziej naukowo, lub kończył zadanie żartobliwym zwrotem. Profesor uwagę skupił na języku, czy jest dobrym, ale nie krępował żadnego elewa. Czyż fantazyę artystyczną, albo humor można poczytać za błąd? Dzieci, to — kwiaty. Niepodobna żądać, aby kwiaty wydawały jeden i ten sam zapach, aby jednakowo rosły.

Nauka polega na dobrem wyrażeniu własnych myśli A w Rosyi.?

Lekcya języka rosyjskiego.

W klasie robią rozbiór wierszyka: „Ptaszek Boży"

Mikołaj Mozgow!—wywołuje profesor.

Wstaje mały, przerażony Mozgow.

— No, Mozgow, zrób rozbiór wiersza. Co chciał poeta wyrazić.?

Mikołaj Mozgow mruga oczyma.

— No, Mozgow...

— Moja matka chora jest—mówi chłopiec.

— Co takiego?

— Moja matka chora. Niewiem, co chciał powiedzieć poeta, lekcyi nie umiem.

— Matka twoja zawsze chora, kiedy lekcyi nie umiesz, bardzo masz wygodną matkę.

W klasie śmiech.

— Zamiast stopnia, piszę „notabenę" —mówi profesor do Mozgowa, a potem zwraca się do innego ucznia:

— Gołow, co chciał wyrazić poeta przez „Bożą ptaszynę"?

— Nie wiem.

— Gołow Aleksander nie wie, więc Mikołaj Gołow może powie.

Mikołaj Gołow milczy.

— Obadwaj Gołowy nigdy nic nie umieją. Postnikow Jan!

— Noga mnie boli, panie profesorze.

— Cóż to ma do rozbioru?

— Nie mogę stać.

— Odpowiadaj więc siedząc. Jan Postnikow i siedząc nie wie. Zatem może nam coś powie Paweł Iwanowski!

— Pan profesor pozwoli, że wyjdę.

— Co chciał wyrazić poeta przez wiersz?

— Pan profesor pozwoli, że wyjdę.

— Paweł Iwanowski chce wyjść, zatem proszę do tablicy!

Czyż nie po indyjsku, czy po jakiemn tam odbywają się lekcye języka rosyjskiego?

— Bladolicy brat mój — pies. Język bladolicego brata mego kłamie. Oskalpuje bladolicego brata mego!

Jeden z uczniów podnosi dwa zawalane w atramencie palce.

— Patrycyusz Klaudyusz wie, co chciał wyrazić poeta. Słuchamy!

Chłopiec wstaje, ale natychmiast siada, myśląc:

— A nuż źle powiem i pałka gotowa..

— Czemuż Patrycyusz Klaudyusz milczy, jeśli wie, co chciał powiedzieć poeta?

W klasie śmiech.

Patrycyusz Klaudyusz myśli:

„Nie, lepiej poprosić, aby mnie wypuścił?“

Wstydzi się jednak swego tchórzostwa i zaczyna bojaźliwym głosem:

— W wierszu „Ptaszek Boży“ poeta pragnął. wy... wyrazić... w... wogóle... poeta, że ptak...

Klasa kładzie się od śmiechu.

— Znalazł się mędrzec—rzecze nauczyciel, wie co poeta wyrazić pragnął, siadaj.

— Niech się oni nie śmieją, to ja powiem.

— Nie śmiać się!

— Poeta—mówi chłopiec—wyjaśnia, że ptaszek Boży nie pracuje, nie myśli, a... bywa... zawsze syty... tak... bywa... i...

— Nie, nie to chciał wyrazić — siadaj. Nikt nie wie, zatem podyktuję, pisać, żeby mi każdy na jntro umiał!

Wszyscy wyjmują kajety i zaczynają pod dyktando pisać:

— Wypowiadając przez usta koczujących cyganów piosnkę o ptaszynie, poeta tem samem chce nam wykazać nizki stopień ich egzystencyi, ponieważ tylko z punktu widzenia...

— Panie profesorze, bądź pan łaskaw nieco wolniej. Nie zdążę zanotować—przerywa pierwszy uczeń.

Trzeba rozumieć, a nie zapisywać... ponieważ tylko z punktu widzenia leniwych cyganów niedbałe ptasze może być chwalone. Kto inny, ciężko pracujący, ptaka takiego chwalić nie będzie, jak, dajmy na to, sam poeta. Czy wszyscy zrozumieli?

— Wszyscy—chórem odpowiada klasa.

— Mozgow, powtórz!

— Poeta wypowiada przez usta ptaszęcia...

— Siadaj. Jeszcze raz powtarzam. Wypowiadając przez usta cyg... no, zapisać wszystko!

I cała klasa pisze, kuje obowiązkowe, „urzędowe" wyjaśnienie wiersza.

Tak jest wogóle z każdym przedmiotem, nad którym trzeba myśleć, roztrząsać go w klasie. A im więcej uczniowie roztrząsają, rozmyślają, tembardziej oduczają się samodzielności.

Zabija ją każde takie dyktando rozbioru pierwszego lepszego wiersza. Nikt sam myśleć nie chce bo wie, że źle powie, a zresztą nauczyciel sam podyktuje, „na piątkę", potem wykuje się i już!

Nie ma też więcej potępiającej rzeczy, jak właśnie ćwiczenia z języka rosyjskiego.

W mieście prowincyonalnem miałem przyjaciela, wielkiego działacza, człowieka zacnego. Kiedy dzieci jego zdawały egzaminy, całe miasto zdawało je również, wszyscy znajomi brali udział w tych egzaminach. Jedni znajomi czynili starania u kuratora drudzy u dyrektora, inni u nauczycieli.

Gdy zadawano trudny temat z algebry, rozwiązywali go profesorowie matematyki miejscowego uniwersytetu. Kiedy zadano wypracowanie domowe, wówczas proszono wielu adwokatów i literatów, aby pomagali.

Pewnego razu dano wypracowanie „O pożytku pracy".

— Licho wie, jakich już tematów nie zadają dzieciom—mówił ojciec, medytując nad ćwiczeniem.— Sam nie widzę żadnego pożytku w pracy, przeciwnie mniemam, że jest ona przekleństwem, ciążącem na życiu. Bóg, wypędzając pierwszych ludzi z raju,

rzucił na nich klątwę: pracujcie! Wiadomo przecie...

Zaproszono więc różne osobistości na naradę.

Mówiliśmy o wszystkiem, co można było na na ten temat napisać, ale chłopiec nie decydował się na żadną z poddawanych mu myśli.

— Nie, to nie będzie dobrze — odpowiadał. Trzeba zaprosić Semiona Puprikowa — ostatecznie postanowił.

Semion Puprikow był uczniem innego gimnazyum, ale człowiekiem „umiejącym pisać", człowiekiem, który zęby zjadł na ćwiczeniach.

Zaproszono go, przyjęto i uczęstowano jak najlepiej, nie brakowało bowiem ani konfitur, ani papierosów dla gościa, który wszystkich nas sproszonych miał nauczyć, jak to trzeba pisać ćwiczenia.

Byliśmy zresztą niezmiernie ciekawi.

Puprikow z wyglądu był sobie zwyczajnym. niewielkiego wzrostu chłopcem, jak wielu, wielu innych.

Przyszedł cały przejęty ważnością swej misyi, Z taką powagą zjawiają się naprzykład rejenci, zaproszeni dla napisania ostatniej woli nieboszczyka, albo komornicy do zrobienia zajęcia rzeczy i t. p.

Podczas obiadu, a i przedtem, nie było mowy o ćwiczeniu, dopiero, kiedy najważniejsza figura — Puprikow—zjadł, dopraszając się aż cztery razy słodyczy, wtedy rozpoczęto mówić o ćwiczeniu.

Semion, obrzuciwszy nas surowem spojrzeniem rzekł po chwili namysłu:

— Potrzebny jest do tego ćwiczenia Demostenes!

Adwokaci przysięgli podskoczyli z podziwu, literaci obruszyli się, kiwając głowami.

— Demosteneś!—wołał ten i ów.

— Rozumie się — po pauzie rzekł Puprikow i opierając się o krzesło, zaczął głosem, w którym jakaś prorocza jakby nuta drgała:

— Tak, o pożytku pracy możemy się przekonać, wyuczywszy się tylko historyi o Demostenesie. Bez Demostenesa ani rusz!

Trzeba więc tak zacząć:

„Będąc z natury złym mówcą i chromając fizycznie tak, że niepodobna było mu myśleć nawet o wystąpieniu w roli retora, Demostenes bezustanną pracą nietylko, że pokonał trudności, ale został świetnym mówcą, a sława jego przeszła granice ojczyzny i czasu.

No, a potem o kamykach, o bieganiu za niemi i t. d.

Spojrzeliśmy na Puprikowa i na siebie z powagą.

— Dalej—rzekł znów Puprikow — trzeba Demostenesa porównać z *lazzaronami*.

— Jak? Co? *Lazzaroni?* — wołali wszyscy, rażeni tą niespodzianką.— Cóż *lazzaroni* mają do Demostenesa?

Puprikow uśmiechnął się pobłażliwie, a potem jak Pytya jaka, przymknąwszy oczy, zadeklamował:

„Neapolitańscy lazzaroni, zadowalając się muszlami, dostarczanemi przez przypływ morza, unikają pracy — i cóż widzimy? Cały dzień wylegują się oni na słońcu, nie wiele się różniąc od psów i najsprawiedliwiej widokiem swoim wywołując pogardę u każdego podróżnika".

— Oto przykład przeciwny pierwszemu. Przekonywując się — mówił Puprikow — na przykładzie o Demostenesie co do pożytku pracy, dając następnie rys z życia lazzaronów neapolitańskich, położymy nacisk na tych ostatnich.

— Dalej część patetyczna... Tak się zawsze pisze — rzekł z zupełną pewnością siebie chłopiec, patrząc na nas z najwyższą powagą.

Po obiedzie z głębokim szacunkiem poczęstowałem Puprikowa papierosem, a jeden z adwokatów w roztargnieniu cygarem.

Semion zaś wolno popijając likier, opowiadał nam długo, jakie mianowicie zadania w ten a w ten sposób trzeba obrabiać, jak powinno się „takie papiery pisać".

Do znawcy bardzo często zwracają się mamy i panowie z prośbą o napisanie ćwiczenia.

Tak — musi się być specyalistą. Jedni są od ćwiczeń szkolnych, inni od pisania próśb.

Turgeniew za ćwiczenie napisane dla gimnazisty dostał trójkę z minusem. Szczedryn lepiej, bo —dwójkę, za wypracowanie, które napisał dla swej córki!

— Nie umiesz języka rosyjskiego—powiedział jej profesor.

Kiedy się dowiedział, kto był rzeczywistym autorem, pojechał pisarza znakomitego przepraszać.

— Daruj pan—rzekł Szczedrin - ale język rosyjski chyba znam, ćwiczenie pisałem własnoręcznie.

— Tak, ale ono *nie tak powinno być napisane...* Oto przykłady.

Więc, jeżeli wam zaproponują obrobienie wypracowania, dajcie pokój, to należy do „specyali-

stów", których myśli, słowa są raz na zawsze zawarte w pewnych określonych ramkach.

— Jeśli kto napisze ćwiczenie np. „Opis wiosny" powiozę go na pole Marsowe! — puste słowa, tematu nie obrobi nikt.

Do tego bowiem potrzebne są, muszą być: łan zboża, na prawo las, na lewo rzeka...

Las koniecznie na prawo, rzeka koniecznie na lewo—broń Boże, żeby było odwrotnie!

Słowem, trzeba czuć, myśleć szablonowo i tak pisać.

A ztąd—mamyż ludzi oryginalnych? Mamy mądrych, głupich, ale oryginalnych nie!

Oryginalność uważa się za ujmę.

Cóż się słyszy w towarzystwie? Jeden szablon uczuć, myśli...

Każdy wtłoczony w jakąś ramkę—ten w konserwatywną, tamten w liberalną, inny w radykalną.

Tak się też i pisze. Nie ma tu mowy naturalnie o geniuszach, o wybitnych talentach, ale ci pisarze miary średniej, a za nimi ogół?

Czy często spotka się oryginalną myśl, porównanie świeże w naszej literaturze? Nie.

Francuz dąży do ujawnienia indywidualności stara się bodaj o trochę odrębności, a u nas — u nas myślą nad tem, jakby tu mówić i pisać *tak*, *jak wszyscy*.

Dekadentyzm czemże jest? Protestem przeciw banalizmowi, protestem przeciw szablonom w życiu i sztuce

Ludzie dzisiaj rzucają się na różne *izmy*, idą pod sztandar nacyonalizmu, radykalizmu, czy innego *zmu*, ale jak? Oto spotykają się z tą lub ową,

teoryą i bez żadnego głębszego zastanowienia idą za nią.

Ale jakże może być inaczej, kiedy każdemu od dziecka wdrażają szablon? I co najciekawsze— nawet przez język rodzinny! Każdy u nas ma sobie za obowiązek, zupełnie naturalnie, uczyć się ojczystego języka.

Cóż się daje temu młodzieńcowi?

Przez pół kursu uczą go, gdzie i jaką literę trzeba stawiać, druga połowa poświęca się różnym starym pamiętnikom, okrawki wreszcie czasu pozostają na literaturę, która właśnie daje najwięcej, bo najbardziej kształci i rozwija, najbardziej pociąga, działając za pośrednictwem piękna na duszę i na serce.

Zamiast tego, pisze się bezsensowne ćwiczenia, zakuwa głowy, schematycznie ramkuje mózgi!

A rezultat?

Trzy czwarte wykształconej Rosyi nie potrafi pisać po literacku, *dobrze* pisać! A zapytać kogokolwiek, co to jest język rosyjski, otrzymasz odpowiedź:

— Nudny, męczący przedmiot.

A wszak język rodzimy to — dusza, dusza narodu!

PO MIESIĄCU.

Z pomiędzy listów, otrzymanych przezemnie w redakcyi, jest jeden, który niemoże być pominięty, ale musi być ogłoszony drukiem.

Szanowny Panie!

Pozwoli pan, że mu się przedstawię — jestem bohaterem — zaczyna autor.—Jestem tym samym „małym *wielkim* człowiekiem", albo „wielkim małym człowiekiem", o którym tak serdecznie pisałeś Pan kiedyś. Jednem słowem — jestem nauczycielem ludowym.

Powiecie: jakież to święte słowo.

A może myślisz Pan ze smutkiem:

A! nauczyciel ludowy!.. Zapewne znów skarga!

Nie, łaskawy Panie, nie mam się na co skarżyć, mogę się tylko chwalić. Stary ja nauczyciel, bo lat 20 pracy jest po za mną. Mam siedmioro dzieci, córka starsza udziela lekcyj, druga za miesiąc kończy seminaryum i także poświęci się temu samemu, co i ja, zawodowi. Pozostało mi pięcioro jeszcze dzieci i te postawić muszę na nogi, zrobić z nich ludzi Aby spełnić to zadanie, nie pijam. Od chwili narodzin trzeciego dziecka zarzuciłem palenie, sam całą rodzinę obszywam i sam nawet dla całej rodziny buty robię. Otrzymując 250 rubli pensyi rocznej, 50 na mieszkanie i za cztery

pięciolecia po rubli 50 — mam razem 500 i jakoś żyję.

Dla kogo innego strasznie byłoby to mało, dla mnie dość. Koledzy moi, gdyby przeczytali to, co piszę, zawołaliby: Ależ to szczęśliwiec!

Zatem na byt swój nie mam potrzeby wyrzekać. Ująłem za pióro, aby Panu donieść o swoim powrocie ze zjazdu nauczycielskiego.

Przedewszystkiem uważałem sobie za obowiązek być u naszego inspektora, który mieszka w miasteczku powiatowem.

Miałem do inspektora interes.

Artemiusz Filipowicz zawsze mnie przyjmował z niezadowoleniem, mawiając: „Pocóż przywlokłeś się znów?" Tym razem jednak, ujrzawszy, mnie zajaśniał radością.

— No, jakże? Zabawiliście się? co? Wypowiedzieli do syta, co?

Milczę.

— Noo? Nas, inspektorów sujkować, ot w bok, co?

Milczę.

— Przeszkadzamy, co? Ciągle wam, he he, co?

Ciągle milczę.

— Biurokratyzm propagujemy, samowolnie się rozporządzamy? hm?

Ciągle milczę.

— Zwymyślano nas na waszem zebraniu, w waszym parlamencie, hm?

Patrzę, na stole leżą „*Moskowskija Wiedomosti*".

Naśmiawszy się, nie dopuściwszy do słowa, pożegnał mnie.

Po powrocie do siebie rano zastaję wójta w swej kancelaryi.

— Pozdrawiam, Wasyl Kuźmycz kazał za wypas dwóch krów ściągnąć od was 10 rubli.

— Jak to? za co?

— Ha, włościanie orzekli — wódki nie pije, buty sam szyje, niech tyle zapłaci.

Licho mnie nadało szyć buty! Teraz każą płacić sobie i na co, na pijaństwo!

— Przytem, mówi starosta, jeździłeś do Moskwy prosić o podwyżkę pensyi, nam zaś ciężko.

I zkądże podobne wiadomości ich doszły!

W południe przyszedł pop. Zapytywał o zabawę, o czas spędzony w Moskwie, ale, myśląc o czem innem, spytał wreszcie:

— Czy i o sługach kościoła mówiono wśród was z sarkazmem? Czytamy — wiemy. To nie chwalebnie. Sądzę, że i władza wyższa nie pochwali was za to.

— No—odrzekłem—naprzód nie jestem obowiązany tłomaczyć się z tego, co mówiłem lub nie, z czem się zgadzałem, a z czem nie.

— Ależ o tem nie mówię, rozumie się!

— A potem, prezes książę Dołgorukow z góry, oznajmił, że nic nikomu nie będzie, że wolno mówić co kto chce, co myśli — ot!

— Fi! możebne, w każdym razie i my będziemy wiedzieli, z kim to mamy do czynienia.

Wyszedł, ledwo się pożegnawszy.

Przed wieczorem zjawił się pisarz gminny — człowiek inteligentny, spędzający każdą swobodniejszą chwilkę na czytaniu.

— Nie spotkałeś pan czasem,—rzekł do mnie,— Maksyma Gorkija?

— Nie, nie widziałem.

— Wielka szkoda. Ciekawe, czy on jest długowłosy. Jemu podobno za każdy wierszyk rubelka płacą. —

— Nie wiem o tem.

Przeszliśmy do sprawy zjazdu nauczycieli.

— Powiedzcie mi, czemże był ten wasz zjazd?

— A ot zebraliśmy się z pozwolenia władzy wyższej, wyjawiali swe potrzeby, określali położenie.

— Tak-s. No, a władza?

— Żądania będą jej przedstawione.

Tak-s. Sądzicie, że się na wszystko zgodzą?

— No, nie, ale, pojmujesz pan, zebranie nasze miało raczej charakter ogólniejszego znaczenia — ideowy, że tak powiem.

— Tak s. Ale, żądania, żądania, cóż z tem?

— Dotąd wypowiedziane, wątpię jednak w skutek. Mieliśmy już podobne przykłady.

— Tak-s?

Zaśmiał się.

— To coś jakby w rodzaju opowiadania Gogola „Powieść o tem, jak Jan syn Jana pokłócił się z Janem synem Nicefora."

Tam też Jan, gdy spotkał biedną, pytał: bardzo ci się chce jeść, pewno byś chleba zjadła!"— „Tak, panie, co łaska, co łaska"—„A może i mięsa byś chciała?"—„Oj panie gdyby, gdybym." — Powiedz że czegóż jeszcze stoisz, idź, idz! Nie biję cię i to wystarczyć ci powinno!" Tak też i z wami się obejdą! he-he!

Zirytował mnie. Zupełny Mefistofeles. Naczytał się, naczytał i teraz gryzie różnemi cytatami.

Siedzę w swojej izbie. Noc zagląda do okien, wiatr poświstuje w kominie.

Myślę nad czem? Ot, za co mi każą płacić te dziesięć rubli, czy za to, że nic nie piję, że zabiegam?

Przypomina mi się raptem spotkanie moje z naszym powiatowym naczelnikiem.

Jechaliśmy razem ze zjazdu. On w pierwszej, ja w trzeciej klasie. Zeszliśmy się na stacyi. Naczelnik, aby co przejeść, ja aby wziąść gorącej wody na herbatę.

Spostrzegłszy mnie, zawołał:

— A, Wasyli Kuźmycz, przysiądź się pan!

Wszyscy naczelnicy powiatowi przed wyjazdem dowiadywali się, jak jest czyje nazwisko i do każdego nauczyciela ludowego zwracali się łaskawie.

— A, Wasyl Kuźmycz! Przysiądź się pan. Pogadamy sobie o zjeździe. Może czerwonego — niezłe.

Zaczęliśmy mówić o zjeździe. Naczelnik co chwila powtarzał łaskawie moje imię, które, dziwna rzecz, pamiętał, ale bo też było to niebawem po zebraniu.

— Cóż, Wasylu Kuźmycz? Czy nowe siły pan wieziesz z Moskwy na dalszą pracę, co?

— Siły,—mówię—siły te same, ale jak pan sądzi, czy dojdziemy do czego konkretnego? czy możemy się czego spodziewać?

— Phi, spodziewać się to wątpię, bądź co bądź zjazdy wogóle mają ogromne znaczenie! Ogromne znaczenie, Wasilii Kicz! To przegląd inteligentnych

sił kraju, Wasili Ilicz! Wasili Ilicz! To przegląd sił przodujących, Wasili Ilicz!

Zapomniał mego imienia.

Przegląd...

Przegląd—to święto dla generałów, którzy mają swoje dywizye w porządku, to święto dla oficerów, którzy mogą poparadować w swoich błyszczących mundurach. Spytajcie się jednak prostego żołnierza, czem jest dla niego przegląd, on odpowie że pochody są daleko lżejsze, niż oględziny.

Siedzę ot w swojej izdebce i myślę, dlaczego mi zabierają te dziesięć rubli?

Już późno. Powinienem iść spać, ale sen nie klei powiek, tak mnie te moje myśli gnębią. Ujmuję więc za pióro i piszę do pana.

Rozmawiałem znów kiedyś z pisarzem gminnym o naszem zebraniu w Moskwie.

— Władza—mówił on,—spojrzy na wasze żądania, albo i nie...

— Raczej nie.

— No, oprócz władzy oświaty, jest jeszcze władza powiatowa, która zawsze...

— Cóż władza powiatowa, czyż nie wie ona bez waszych zjazdów, jak stoicie materyalnie i czego wam potrzeba?

Kiedy służyłem w innej gubernii, znałem nauczycieli, którzy pobierali po rubli dwadzieścia. Pewnego razu przejeżdżał naczelnik powiatu z jakąś wielką figurą koło domu takiego nauczyciela. Zatrzymali się, a ja słyszałem ich rozmowę.

Wielka figura mówiła z wielkiem uczuciem: Nasz nauczyciel — człowiek idei. Niesie on światło między lud, pobierając ledwo dwadzieścia rubli mie-

sięcznie. Wstyd to jest bądź co bądź, że ich tak fatalnie wynagradzają. Ale u nas tak zawsze — człowiek idei zwykle głód musi cierpieć. Za taką pracę dostawać dwadzieścia rubli!...

— Ot co—mówił—a dlaczego nie płacą więcej? dla tego poprostu, że niema pieniędzy, ztąd wszystkie wasze zjazdy.

Wzruszył ramionami.

— Ależ moralne znaczenie, moralne? Zobaczysz pan, jak się będzie rozwijała teraz pomoc wzajemna!

— Czem jeden drugiemu pomoże, kiedy sam nie ma co jeść?

— Mówiłem już, że żadnych rezultatów z tych zjazdów naszych nie będzie, ale moralne! Przynajmniej ogół dowie się, w jakiem położeniu znajduje się nauczyciel ludowy!

— Tak-s! Defilada więc! Czytałem w pismach o defiladzie nędzarzy w Londynie, a i maskarady są ciekawe! Lecz weźmy przykład bliższy, np.: wy Wasylu Kuźmycz z siedmiorgiem swoich dzieci, z żoną... pan trzymasz w ręku podręcznik literatury, a żona pańska pod pachą kupę bielizny do prania— paradujecie, he he!

Omało go nie wypędziłem.

— Co za przypuszczenie, Wasylu Kuźmycz, że się interesuje wami społeczeństwo? Gdyby tak było, od świętej pamięci wasze położenie zmieniłoby się!

— Jest przysłowie: Dziecko nie płacze, matka nie rozumie.

— Tak się mówi o głupich matkach! Społe-

czeństwo! — Często bywam we dworze w rozmaitych sprawach. Pan rozmaite zestawia projekty, a ja je przepisuję. Można się bardzo dużo nasłuchać, gdy się natrafi u nich na zebranie gości. Rozmawiają wówczas o Francyi, o Niemczech, o kwestyach dotyczących całej Europy, ale żeby też pomyśleli o nauczycielu, żeby kiedykolwiek była o tem mowa — nigdy! — to ich nie interesuje wcale...

Rzeczywiście, czy się nami interesuje społeczeństwo?

Parę lat temu wiele mówiono i pisano o tem, jak żyją niektórzy nauczyciele ludowi w Niemczech. Nasze dzienniki i pisma tygodniowe nieomieszkały przedrukowywać tych artykułów, ilustrować je i cóż? Ten i ów spojrzał i rzekł: „przyzwoiciej wyglądają od naszych nauczycieli". Oto co jest! Brak na obiad, pęka but, nie masz na śniadanie — wszystko to ofiara dla społeczeństwa ze strony nauczyciela.

A przecież to społeczeństwo i w sposób realny dało dowód, że zajmuje się dolą nauczyciela ludowego. Oto założyło ono „zakład dla dzieci nauczycieli i nauczycielek". Czy bardzo jednak zajęto się później tą instytucyą? A gdyby nawet, to chyba jasne, że my nie chcemy jałmużny, żadnych zapomóg, ale jedynie sprawiedliwego wynagrodzenia za pracę.

Cóż tedy pozostało z naszego zjazdu w Moskwie? — trochę nadziei i tej dziecinnej radości, jaka się budzi w duszyczkach przy choince — radości, która przemija. Nic — po za tem.

Ten zjazd niczego nam nie dowiódł, prócz tego,

że nauczyciele ludowi nie mają się czego spodziewać, że dla nich są tylko słowa, słowa, słowa!

Gorzka to prawda! — Ale *prawda*.

Wybaczy Pan, że list mój jest nieco przydługi, ale Pan nie jest inspektorem, a ja musiałem się przecież przed kimś poskarżyć, przed kimś takim, któryby tę skargę naprawdę zrozumiał.

Życząc Panu wszystkiego dobrego, zostaję Jego sługą (tu następuje podpis).

KONKURS

SZKIC.

(Wyższy zakład naukowy. Rada. Na stole sporo papierów, wykazujących rezultaty egzaminu konkursowego).

Dyrektor. Przystąpimy zatem. Iluż jest kandydatów?

Sekretarz. Pięciuset, panie dyrektorze.

Dyrektor. O joj, o joj! A miejsc ile?

Sekretarz. Pięćdziesiąt w całym zakładzie.

Dyrektor. A jajaj! Można więc będzie tylko o tych mówić, którzy mają okrągłą piątkę.

Sekretarz. Na egzaminie konkursowym okrągłą piątkę otrzymało czterystu kandydatów.

Dyrektor. Czterystu! Szczególna ta nasza młodzież obecną! Starcy, starcy! Tyle zabaw, tyle przyjemności wokoło, a ci siedzą i uczą się! Mojem zdaniem, naumyślnie to robią, ot, żeby nam na złość zrobić! No i uczą się. Wiedzą, że miejsca w szkole niema, że nam dokuczą, stawiając nas w trudnem położeniu i uczą się!

Drugi profesor. Ale cóż robić?

Dyrektor. Przedewszystkiem wykreślimy tych, co mają piątkę z minusem. Bodaj piątkę z minusem! Ilu takich?

Sekretarz. Pięćdziesięciu.

Dyrektor. No choć o pięćdziesięciu mniej. A gdyby tak jeszcze ze dwóm setkom popostawiać minusy. Ot, co tu miejsca w krateczkach!

Drugi profesor. To rzecz niemożliwa.

Dyrektor. Wiem, wiem. (chwytając się za głowę.) Więc cóż, cóż robić?

— Panowie, trzeba tu nieco psychologii. Odlicz pan, panie sekretarzu tych, którzy mają piątkę z kropką. Kropka — to ważna rzecz. Ona wskazuje bowiem, że egzaminujący się zrobił ogromne wrażenie, którego potwierdzeniem — kropka. Wybieraj pan przytem kropki stawiane mocno, pewną ręką.

Sekretarz. Z punktami jest 250. Jedna piątka z jakąś dziwną kropką. Niewiadomo czy profesor ją postawił, czy mucha...

Dyrektor. Licz pan, że mucha! i tak jeszcze 249-u!

Profesor trzeci. A miejsc pięćdziesiąt.

Dyrektor. Trzeba będzie jeszcze coś zrobić! Z psychologją skończone,—zwrócimy się do grafologii. O, grafologja panowie, to dziwna nauka! Nie podobna się z nią nie liczyć. Z tą nauką zapoznał mnie jeden z moim znajomych. To bardzo ważne jak się pisze cyfrę! Bardzo mi wiele opowiadał, wskazywał przykłady: cyfry Napoleona i jakiegoś uciekiniera bankiera.

Bankier stawiał zrazu cyfry jasno, twardo — przed ucieczką stały się one małe i niepewne. Uczniowie klas niższych także, gdy są niepewni stawiają maleńkie przecinki. Zatem licz pan tylko duże piątki.

Sekretarz. Sto czterdzieści dziewięć wielkich piątek z dużemi kropkami.

Dyrektor. Pozwól pan — przejrzę. Ależ panie,

piątki nie dochodzą do końca kratki, a pan je liczysz. Z takiemi stopniami zawsze będziemy mieli za dużo kandydatów.

Sekretarz. Czasem zdaje się tylko, że nie dochodzi.

Dyrektor. Wrażenie — to wielka rzecz. Zdaje się... jak tylko zdaje się, to już coś tam musiało być. Chwiejność właśnie została przez to wyrażona. Zatem o jednego mniej, zostaje nam stu czterdziestu ośmiu.

— Przeczytaj pan nazwiska.

Sekretarz. (czyta listę) Iwanow...

Dyrektor. Pozwól pan! Poco nam Iwanow. W naszym zakładzie cała masa Iwanowych, a potem Sidorowych i Karpowych. Są to bowiem również nazwiska bardzo rozpowszechnione.

Sekretarz. Jest tu niejaki Polikarpow. Czy i jego mam wykweślić?

Dyrektor. Polikarpowa wprawdzie ani jednego u nas niema, ale to nic nie szkodzi, wykreśl go pan! Dyabli nam z Polikarpowami, zostawiaj pan tylko nazwiska niezwykłe.

Sekretarz. Z takiemi nazwiskami zawsze jest 110-u petentów.

Dyrektor (zamyślając się). Po dwóch kandydatów z ułamkiem na jedno miejsce!.. Słuchaj pan! Nie ma między nimi Żydów?

Sekretarz (ze smutkiem) Niestety, dyrektorze, niema!

Dyrektor. Jaka szkoda! Żydzi są bardzo, bardzo pożądani, jeśli się ma do czynienia z wykreślaniem zbytecznych nazwisk. Pamiętam było raz jedno miejsce, a pięćdziesięciu proszących. Jakoś 48-u

wykreśliliśmy, zostało dwóch. Na szczęście, jeden okazał się Żydem. O mało hurra, nie krzyknąłem na taką niespodziankę. Żyd, doskonale — precz z nim, i wykreśliliśmy, pozbywając się kłopotu. Ileż pozostaje?

Sekretarz. Stu dziesięciu.

Dyrektor. Jeszcze tylu! Żyda ani jednego—hm— a brzydkich tam nie będzie czasem?

Profesor pierwszy. Ależ bój się Boga, dyrektorze, cóż tu znaczy uroda?

Dyrektor (błagająco). Co znaczy uroda? Ależ panie! Zapominasz pan, że nasza szkoła tylko pięknych ludzi dostarcza! Z całego miasta zjeżdżają się do nas na bale same piękne kobiety... Panowie czy, egzaminując, nie pamiętacie z wyglądu, który tam brzydki?

Drugi profesor. Właściwie nie spostrzegliśmy. Młodzież dorodna! Jeden miał tylko, ile pamiętam, nos jak guz!

Dyrektor. Precz z nim! 109! Panie sekretarzu, pan masz gust, odbierałeś prośby, czyś pan nie spostrzegł jakich brzydkich? Jeżeli tak, to wykreśl, wykreśl ich.

Sekretarz. Pozostaje 75-u. Chłopiec w chłopca, 51 blondynów i 24-ch brunetów.

Dyrektor. Precz z brunetami, po co bruneci, niechaj raz będą wszyscy blondyni. — Jasno będzie od głów w sali (zaciera ręce).

Sekretarz. Jest jednak 51. Młodzieniec w młodzieńca, zwłaszcza ten (wskazuje piórem nazwisko)— istna dorodność!

Dyrektor (z radością). Dorodny? — Precz z dorodnym. Tu jest wyższy zakład naukowy, a nie ope-

retka. Nie możemy przyjmować młodzieńca tylko dlatego, że jest piękny! Dorodny — precz.

Sekretarz (zamykając listę). Na miejsc pięćdziesiąt w wyższym X. X. zakładzie naukowym przyjęto takąż liczbę kandydatów.

Dyrektor (obcierając spocone skronie). O, ach, uf! Panowie, od czasu jak raz, wracając z żoną z Paryża, musiałem wszystkie jej sprawunki i sprawuneczki znieść do przedziału klasy drugiej, od tego czasu nigdym się tak nie zmęczył — jak dziś dopiero, dziś... (żegnają się między sobą i rozchodzą).

KONIEC.

Nr 323974
LUBLIN

SPIS RZECZY.

Smutki i radość małego człowieczkaci 9
Co to jest dziecko? 29
Rodzina i szkoła 41
Nauczyciel 51
Tragedya charkowska. 67
Mali urzędnicy 79
Lekarz gimnazyalny 91
Język rosyjski 99
Po miesiącu 115
Konkurs 127

Biblioteka im. Hieronima
Łopacińskiego w Lublinie

I 323974

1000072389